NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 24 września 1910. Nr. 39.

W obawie zawleczenia cholery.

(Treść na str. 2).



Nr. 39. „Nowości illustrowanych" zawiera: Demonstracya robotnicza we Lwowie. — Pamięci znakomitego architekta. — Przeniesienie zwłok śp. Gawalewicza. — Nowy dyrektor szkoły rolniczej w Cieszynie. — Skandale i brudy. — Ze sportu. — Statki galicyjskie na Wiśle.

Wystawa rybacka w Warszawie. — Strajk tramwajowy we Lwowie. — Zapasy atletów w Krakowie.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończy się trzeci kwartał. Naszych P. T. Czytelników i Prenumeratorów prosimy zatem o dalsze poparcie i o rychłe odnowienie przedpłaty na kwartał następny, a to celem uregulowania nakładu.

Prenumeratorom z Galicyi dołączamy w tym celu do dzisiejszego numeru przekazy pocztowe już zaadresowane.

Prenumerata „Nowości illustrowanych“ do końca roku z przesyłką pocztową wynosi zaledwie 4 korony.

Naszym P. T. Czytelnikom i Prenumeratorom w Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem zwracamy uwagę, że ekspedycya naszego pisma na Królestwo Polskie i Cesarstwo, odbywa się w Warszawie i stamtąd też pismo nasze bywa każdego piątku rano wszystkim prenumeratorom rozsyłane.

Nie należy zatem przedpłaty z Królestwa i Cesarstwa przesyłać do Krakowa, ale do

biura G. UNGRA w Warszawie,

Aleja Jerozolimska 78,

albo też można pismo zamawiać za pośrednictem każdej księgarni tak w Warszawie, jak i na prowincyi.

Prenumerata kwartalna wynosi:

w Warszawie . . . 1 Rbs. 80 kop.
Na prowincyi już wraz z przesyłką pocztową . . 2 Rbs. 60 kop.

W obawie zawleczenia cholery.

(Do illustracyi tytułowej).

W kilku poprzednich numerach naszego pisma wspominaliśmy już o niebezpieczeństwie, grożącem Galicyi z powodu możliwości zawleczenia cholery, która w różnych zagranicznych miejscowościach szerzy się z ogromnem nasileniem. Galicya znajduje się w samym środku pomiędzy nawiedzonymi epidemią krajami, nic też dziwnego, że każdy żyje w ciągłej obawie zawleczenia zarazy. Przyznać należy, że rząd krajowy i większe miasta poczyniły wszystkie możliwe środki zapobiegawcze, aby nie dopuścić w głąb kraju nieproszonego gościa, z ubolewaniem jednak zaznaczyć trzeba, że społeczeństwo nie idzie ręka w rękę z władzami sanitarnemi i radeby się wyłamać z pod ich zarządzeń, choć współdziałanie jest tu niezbędnie potrzebne. Przykre one są i nieraz uciążliwe, niestety konieczne.

Na mocy rozporządzenia namiestnictwa ustanowiono w miejscowościach pogranicznych ciągły dozór lekarski nad przyjezdnymi, którzy obowiązani są poddać się rewizyi lekarskiej i ewentualnej desynfekcyi. Rzecz prosta, że w zapadłych miejscowościach odbywać się ona musi w sposób prymitywny. Następnie zawiadamia się urząd sanitarny tej miejscowości, do której podróżny się udaje, o przyjeździe osobnika z okolic, cholerą nawiedzonych. Po przybyciu na miejsce zostaje przybyły przez pięć dni pod obserwacyą lekarską. Jeśli stan jego nie przedstawia żadnych wątpliwości, wydaje mu się świadectwo zdrowia, jeśli zaś pojawią się jakie podejrzane objawy, internuje się go w barakach izolacyjnych, jakie na wszelki wypadek pobudowano we wszystkich ważniejszych miejscowościach. Nie brakuje także szpitali cholerycznych; dzięki Bogu, jak dotąd przynajmniej, są one bezużyteczne.

W dobrze zrozumiałym interesie ogółu należy jak najskrupulatniej stosować się do tych zarządzeń, w ten bowiem tylko sposób możemy przeszkodzić zawleczeniu zarazy.

Illustracya nasza przedstawia właśnie chwilę rewizyi lekarskiej w jednej z galicyjskich miejscowości pogranicznych.

Napowietrzna kolej w Barmen i Elberfeldzie.

Zagraniczne miasta starają się wszelkiemi siłami o zaprowadzenie najpraktyczniejszych urządzeń lokomocyjnych, któreby zabierały najmniej miejsca i czasu i wymagały jak najmniejszych kosztów, a przecież przedstawiały wszelkie warunki bezpieczeństwa dla podróżującej publiczności. Przyznać musimy, że w tym wypadku pozostaliśmy najzupełniej w tyle, znamy co najwyżej zwykłą kolej żelazną i tramwaj elektryczny lub konny.

Inaczej ma się rzecz n. p. w Niemczech, gdzie nawet niewielkie miasta mogą się poszczycić bardzo postępowemi w tym względzie urządzeniami. Do ich rzędu należy napowietrzna kolej, łącząca centra niemieckiego przemysłu Barmen i Elberfeld. O po-



Napowietrzna kolej w Barmen i Elberfeldzie: Widok napowietrznej kolei, prowadzącej z Barmen do Elberfeldu.



Wystawa rybacka w Warszawie: Uczestnicy uroczystego otwarcia wystawy rybackiej w Łazienkach. 1. Generał gubernator Skałon; 2. Generałowa Skałonowa; 3. Prezes wystawy dr. Kotłubaj; 4. Naczelnik żandarmów Królestwa polskiego generał Uthof; 5. Naczelnik pałaców cesarskich generał Tizdel.

pularności tej istniejącej już od lat dziesięciu kolejki, świadczy okoliczność, iż obecnie przedłuża się ją do uroczej wioski Danneborn, stanowiącej jedno z głównych miejsc wycieczkowych Elberfeldu. Należy się dziwić, że inne miasta nie poszły dotąd za tym przykładem, bo doświadczenie wieloletnie stwierdziło najzupełniej praktyczność tego nowoczesnego środka komunikacyjnego.



Wystawa rybacka w Warszawie: Dyrektor wystawy inżynier Rajmund Stodolski.

Urządzenie tego rodzaju kolejki wymaga przedewszystkiem bardzo mało miejsca na powierzchni ulicy, a z tem głównie liczyć się trzeba w miastach o wzmożonym ruchu pieszym i wozowym. W powietrzu nie trzeba się obawiać zderzenia z przejeżdżającymi wozami, chyżość może więc doprowadzoną być do ostatecznych granic przy zupełnem bezpieczeństwie dla podróżnych. Obejdzie się także bez nagłego hamowania w ciągu podróży i gwałtownych wstrząśnień na skrętach ulic. To, co daje się tak we znaki wszystkim podróżującym różnego rodzaju kolejkami ulicznemi, tutaj jest absolutnie wykluczone.

Żelazna konstrukcya toru wznosi się na prawie dwa metry wysokiem podmurowaniu, a składa się z żelaznych łuków o nader wielkiej wytrzymałości.

Torem biegnie początkowo przez miasto, potem zwraca się ku łożysku rzeki Wupper, następnie zaś zawisa nad jej środkiem, kierując się z jej biegiem. Jazda jest nader interesująca, nie zapomina też o niej żaden z turystów, zwiedzających te dolnoreńskie obwody, nie mówiąc już o miejscowych mieszkańcach, dla których stanowi ona prawdziwe dobrodziejstwo.



Fot. M. Münz, Lwów.

Demonstracya robotnicza we Lwowie: Zgromadzenie ludowe na placu Strzeleckim.

Wystawa rybacka w Warszawie.

Staraniem warszawskiego towarzystwa rybackiego urządzona została w t. zw. starej pomarańczarni w Łazienkach druga wystawa rybacka i melioracyjna, którą uroczyście otwarto w ubiegłym tygodniu. W porównaniu z pierwszą wystawą rybacką, urządzoną przez wspomniane towarzystwo przed dziesięciu laty na Dynasach, wystawa obecnie otwarta, przedstawia się znacznie okazalej i jest dowodem poważnego rozwoju i postępu w zakresie hodowli ryb oraz przemysłu rybackiego.

Wystawa zajmuje olbrzymią cieplarnię, tarasę, ogródek i część parku łazienkowskiego od ul. Agrykola, którą ogrodzono wysokim parkanem. Całą wystawę podzielono na szereg grup, a to hodowlę ryb w gospodarstwach stawowych, w rzekach i jeziorach, hodowlę raków, dalej choroby ryb, ich przy-



Wystawa rybacka w Warszawie: Rzut oka na plac wystawy rybackiej w Łazienkach.

czyny i środki lecznicze, przemysł rybacki i przetwory rybne, przybory i przyrządy rybackie, sport rybacki, budownictwo stawowe i wodne, oraz dział melioracyjny, dział naukowy i statystyczny, wreszcie wszelkie przedmioty, z hodowlą ryb i rybołostwem związek mające.

Wszystkie wymienione działy reprezentowane są dość obficie, a stosunkowo najmniej jest żywych ryb. Zaznaczyć przytem należy, że nie wszystkie działy były w dniu otwarcia wystawy wykończone,



Pranie polityeznyeh brudów: Poseł i radny miasta Wiednia Herman Bielohlavek.

co zresztą jest objawem stale i na wszystkich wystawach się powtarzającym.

W części dydaktycznej tej wystawy na szczególne uznanie zasługuje przegląd historyczny drenowania, składający się z 40 okazów, przedstawiających poglądowo wszystkie sposoby drenowania. Bardzo niezwykłą tę część wystawy wykonano wedle projektu inżyniera Wiszniewskiego.

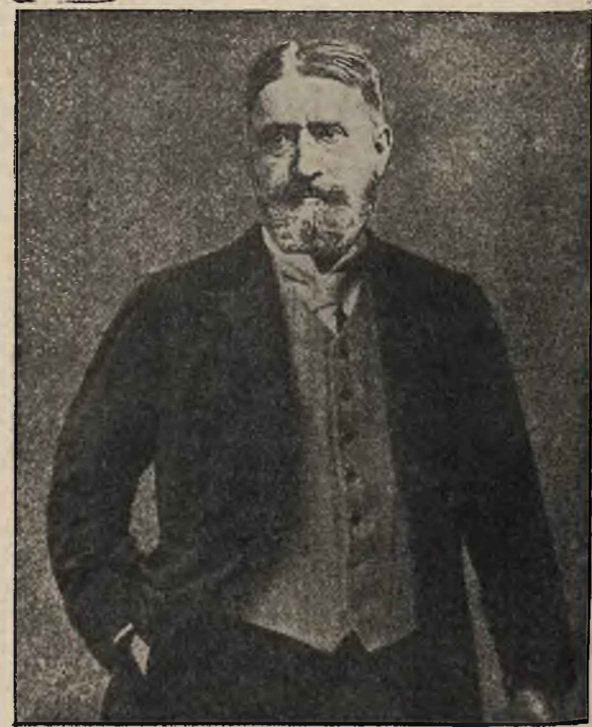
Otwarcie drugiej wystawy rybackiej nastąpiło we czwartek w południe przy udziale władz krajowych i licznie zebranej publiczności. Przybył więc generał-gubernator Skałon z żoną i córką, pomocnicy generał-gubernatora, Essen i Uthof, gubernator warszawski bar. Korf, oberpolicmajster generał Mejer, dalej przedstawiciele towarzystwa rybackiego, zaproszeni delegaci innych stowarzyszeń itd. Przecięcia wstęgi dokonała żona generał-gubernatora Skałona, poczem goście zwiedzili piękną wystawę, oprowadzani i objaśniani przez członków komitetu.

Wystawa rybacka cieszy się już od pierwszej chwili po otwarciu dużem powodzeniem; popołudniu przygrywa na placu wystawy codziennie orkiestra, wieczór zaś cała wystawa oświetlona jest elektrycznie.

Orkiestra amatorska w Moszczenicy.

Do jak pięknych rezultatów mogą doprowadzić dobre chęci przy skromnej nawet pomocy ludzi dobrej woli, dowodzi historya amatorskiej orkiestry, założonej przed rokiem w miejscowości Moszczenicy pod Piotrkowem w Królestwie polskiem, a rekrutującej się z pośród pracowników fabryki Endera.

Rok minął zaledwie od chwili, gdy w gronie współpracowników tej fabryki powstała myśl stworzenia własnej orkiestry kościelnej. Początkowo wyłoniły się poważne trudności, gdyż brak było instrumentów potrzebnych i funduszów na ich zakupienie, brak też było nauczyciela muzyki. Postanowiono jednak trudności pokonać i zwrócono się do p. Edwarda Mąkosza, zamieszkałego w Wolborzu obok Moszczenicy, znanego zaszczytnie i doświadczonego kapelmistrza i nauczyciela. Mimo świadomości, iż czeka go zadanie trudne i praca bardzo mozolna, przyjął obowiązki nauczyciela i kapelmistrza, byle tylko poprzeć dobre chęci amatorów i pomódz im w ich przeprowadzeniu, dziś też z dumą i szczerem zadowoleniem może spoglądać na owoce sumiennej swej pracy. Po roku bowiem orkiestra robotników z Moszczenicy rozwinęła się bardzo pięknie, a gra jej stoi na wysokim już poziomie. Przyczyniły się do ułatwienia zadania doskonałe instrumenty muzyczne, zakupione w pierwszorzędnej fabryce, dzięki materyalnej pomocy ze strony właściciela fabryki p. Endera. Resztę potrzebnych na to pieniędzy złożyli sami amatorzy.



Pranie polityeznyeh brudów: Radny miasta Wiednia Feliks Hraba.

Rycina nasza przedstawia drużynę orkiestry amatorskiej z Moszczenicy.



Fot. M. Münz, Lwów.

Pamięci znakomitego architekta: Pomnik śp. prof. Juliana Zacharyewicza w westybulu politechniki lwowskiej.



Fot. M. Münz, Lwów.

Przeniesienie zwłok śp. Gawalewicza: Nowy grobowiec śp. Gawalewicza na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

18 (Ciąg dalszy).

— I cóż, panie Weber! Znalazłeś pan tego człowieka?

— Niema nikogo w tym domu. Nikt się tam nie kryje — żywy ani umarły. Możemy chyba przypuszczać, że stary Steinweg był tam zamknięty, ale już obecnie nie jest.

— Przedwczoraj rano on tam jeszcze był — oświadczył wyraźnie Lupin.

— A o piątej pod wieczór moi ludzie dom zajęli — zauważył p. Weber.

— Stąd wniosek — dokończył pan Formerie— że porwano go popołudniu.

— Nie — zaprzeczył Lupin — twierdzę, że to jest absolutnem niepodobieństwem. Steinweg znajduje się tam wciąż...

— Ależ to szaleństwo — pan Weber aż ręce wzniósł do góry — przecież ja stamtąd idę! przecież ja wszystkie kąty przeszukałem!... Przecież człowieka ukryć nie można, jak szpilki!...

— Więc cóż tu robić? — jęknął pan Formerie.

— Co robić, panie sędzio śledczy? — odpowiedział Lupin. — To takie proste! Wsiąść do powozu, ze wszystkiemi ostrożnościami, jeśli panom tego potrzeba, zabrać mnie ze sobą i jechać do willi Dupont. Teraz jest godzina pierwsza; do trzeciej ja odnajdę Steinwega.

Propozycya była jasna, kategoryczna, brzmiała, jak żądanie. Obaj urzędnicy ulegali prądowi tej silnej woli.

— Co pan o tem myślisz, panie Weber?

— Phi... czy ja wiem?

— Tak, ale... tu chodzi o życie człowieka...

— To prawda... — zastępca szefa zaczynał się skłaniać.

Otwarto drzwi. Woźny przyniósł list, który p. Formerie odpieczętował. Czytał te słowa:

„Strzeżcie się, gdyż jeżeli Lupin wejdzie do willi Dupont, wyjdzie z niej wolny. Ucieczka jego przygotowana. *L. M.*“

Pan Formerie posiniał. Przeraziło go niebezpieczeństwo, którego uniknął. Więc Lupin znów zadrwił z niego. Steinweg — to bajka.

— Dosyć na dzisiaj — rzekł. — Jutro przesłuchiwanie trwać będzie dalej. Odstawić więźnia do więzienia.

Lupin słuchał niewzruszony. Pomyślał, że to znów tamten wymierzył mu cios. Pomyślał też, że nie wszystko stracone i że bądź co bądź musi się znaleść sposób uratowania Steinwega. Rzekł tedy najnaturalniej w świecie:

— Panie sędzio śledczy, do widzenia jutro rano o dziesiątej pod numerem 29 w willi Dupont.

— Zwaryowałeś pan chyba! Ja tego nie chcę!

— Ale ja chcę, a to wystarczy! Do widzenia zatem. O dziesiątej punktualnie.

Lupin dziś, jak i poprzednio za każdym razem wróciwszy do swojej celi, położył się i ziewając, dumał:

— W gruncie rzeczy dla posuwania spraw moich, ten tryb życia jest bardzo odpowiedni. Codziennie jednem trąceniem palca poruszam całą maszynę i muszę tylko czekać cierpliwie aż do następnego dnia. Wypadki wywiązują się same z siebie. Jakiż to pyszny odpoczynek dla przemęczonego człowieka!

I obróciwszy się do ściany, twardo zasnął.

Obudził go dopiero zgrzyt zamków i rygli.

— Niech pan wstaje — rzekł strażnik — niech się pan ubiera. A prędko!

P. Weber i ludzie jego czekali na korytarzu; zaprowadzono go do dorożki.

— Jedziemy do willi Dupont? — zapytał Lupin.

— Skądżeż pan wie? — zadziwił się Weber.

— Oczywiście, ponieważ wczoraj na dziś na dziesiątą naznaczyłem tam spotkanie panu Formerie!

W dorożce założono mu ręczne kajdanki i tak, ze skutemi rękoma, wysiadł przed gankiem willi; wszyscy udali się odrazu do pokoju, gdzie czekał sędzia.

— Przepraszam, panie sędzio śledczy, za moje małe spóźnienie; na przyszły raz będę punktualniejszy.

Pan Formerie był blady i wzruszony. Nerwowe drżenie wstrząsało nim.

— Panie — wyjęknął — pani Formerie...

Musiał przerwać, słowa nie przechodziły mu przez zaciśnione gardło.

— Jakżeż się miewa miła pani Formerie? — zapytał Lupin uprzejmie. — Miałem przyjemność tańczyć z nią tej zimy na balu w ratuszu i to wspomnienie...

— Panie — zaczął znów sędzia śledczy -- panie, moja żona otrzymała wczoraj wieczór wezwanie telefonem od swojej matki, wezwanie, by coprędzej przybyła. Pani Formerie wyszła natychmiast, niestety bezemnie, gdyż ja studyowałem akta pańskiej sprawy...

— Akta mojej sprawy? Hm...

— Otóż o północy — ciągnął sędzia dalej — widząc, że żona moja nie wraca, trochę niespokojny pobiegłem do jej matki. Pani Formerie tam nie zastałem. Jej matka do niej nie telefonowała wcale. To wszystko była najohydniejsza zasadzka... Pani Formerie do tej chwili jeszcze nie wróciła...

— Ach! — westchnął Lupin z oburzeniem.

Po namyśle zaś dodał:

— O ile sobie przypominam, pani Formerie jest bardzo ładna — wszak się nie mylę?

— Panie — ciągnął sędzia niespokojnie, podchodząc do Lupina — uprzedzono mnie dziś rano listownie, że żona będzie mi oddana z chwilą, gdy stary Steinweg odnaleziony zostanie. Oto ten list. Podpisany jest: Lupin. Czy to pan go pisałeś?

Lupin obejrzał list i odpowiedział poważnie:

— Tak jest, to ja ten list pisałem.

— To znaczy, że chcesz pan wymusić na mnie kierownictwo w poszukiwaniach za Steinwegiem?

— Żądam tego.

— A zaraz potem żona moja będzie uwolnioną?

— Tak, będzie wolna.

— Nawet w razie, gdyby te poszukiwania zawiodły?

— Nie mogą zawieść!

— No, niechże będzie! — zgrzytnął p. Formerie. — Niech pan poszukuje! Zwyciężyłeś pan!

I pan Formerie skrzyżował ręce na piersiach gestem człowieka, który umie w razie potrzeby ugiąć się przed wyższą siłą przeznaczenia.

Pan Weber nie mówił nic, z wściekłością tylko zagryzał wąsy.

— Pójdźmy na górę — wezwał Lupin.

Poszli.

— Proszę otworzyć drzwi tego pokoju.

Otworzono.

— Proszę mi zdjąć kajdanki.

Pan Formerie i pan Weber, wahając się, spojrzeli na siebie.

— Proszę mi zdjąć kajdanki — powtórzył Lupin.

— Ja za wszystko odpowiadam — zapewnił p. Weber.

I wydał rozkaz swoim ośmiu ludziom·

— Broń do ręki! Na pierwszy rozkaz, ognia!

Policyanci wyciągnęli rewolwery.

— Schowajcie broń — rozkazał Lupin — ręce w kieszenie!

A wobec wahania się ajentów, oświadczył stanowczo:

— Przysięgam na honor, że jestem tu dla ocalenia człowieka konającego i że nie będę usiłował uciec.

— Więc dobrze — wmieszał się pan Weber— daję panu godzinę czasu... Jeżeli za godzinę...

— Nie przyjmuję żadnych warunków ani ograniczeń! — upierał się Lupin.

— No więc róbżeż sobie, jak ci się podoba, bestyo ty jedna! — mruknął p. Weber zniecierpliwiony.

I cofnął się i odciągnął na bok swoich ludzi.

— Doskonale — odparł Lupin. — Tak, to przynajmniej będzie można w spokoju pracować.

I siadł w fotelu i zamyślił się głęboko.

— Panie Weber — rzekł po chwili — każ pan odsunąć łóżko.

Odsunięto je.

— Proszę kazać zdjąć wszystkie firanki alkowy.

Uczyniono to.

Nastąpiło długie milczenie. Wszyscy dokoła z ironicznem niedowierzaniem lecz zarazem z niepokojem i niejasnym lękiem przed jakąś straszną tajemnicą, oczekiwali...

— Mam! — oświadczył wkońcu Lupin.

— A więc? — zapytał p. Weber.

— Poślij pan jednego z ludzi, niech odszuka indykator dzwonków elektrycznych. Musi być przytwierdzony gdzieś w okolicy kuchni.

Jeden z ajentów oddalił się.

— A teraz naciśnij pan gałkę dzwonka elektrycznego, tego, co przytwierdzony jest w alkowie nad łóżkiem... Dobrze... Mocniej)... Naciskaj pan... A teraz dosyć. Teraz proszę przywołać tego, który był na dole.

Za chwilę ajent wrócił.

— No i cóż, czy słychać było dzwonek!

— Nie.

— Wybornie. Nie omyliłem się zatem — rzekł Lupin. — Panie Weber, zechciej pan odkręcić taster, który, jak pan widzisz, jest udany... Doskonale... A teraz, co pan tam widzisz?

— Jakieś kółko — odpowiedział Weber — wygląda to, jak wylot jakiejś rurki.

— Niech się pan nachyli... niech pan przyłoży usta do tej rurki, jak gdyby to była tuba.

— Tak... już...

— Niech pan woła: „Steinweg!... hej!... Steinweg!...“ Nie potrzeba krzyczeć... wystarczy mówić zwyczajnie... No i cóż?

— Nikt nie odpowiada.

— To źle. To znaczy, że umarł... albo, że niema już sił do mówienia.

— W takim razie wszystko przepadło! — zawołał p. Formerie.

— Nic nie przepadło — odparł Lupin — tylko dłużej to potrwać musi. Ta rura ma dwa końce, jak każda rura; trzeba będzie pójść za nią, aż do drugiego jej końca.

— Ależ trzebaby chyba cały dom zburzyć!

— Nie... nie... zaraz zobaczycie!...

Zabrał się sam do roboty, otoczony ajentami, którzy nie tyle pilnowali go, ile przyglądali się temu, co on robi.

Przeszedł do drugiego pokoju i zaraz też, tak jak przewidywał, dostrzegł tam rurę ołowianą, wychodzącą ze ściany i prowadzącą ku sufitowi, jak przewód wodociągowy.

— Otóż to prowadzi w górę — zauważył Lupin — wcale dowcipnie!... Zazwyczaj tego rodzaju schowki bywają w piwnicach!

Droga więc była odnaleziona, należało teraz jedynie iść dalej jej śladem. I tak wyszli na drugie piętro, potem na trzecie, wreszcie na poddasze. Sufit jednej z izdebek na poddaszu był przebity, rura tamtędy wychodziła na niziutki stryszek. Ujście rury widocznie znajdowało się tuż pod samym dachem.

Jak się tam dostać? stanęli bezradnie.

— Na dach wyjść trzeba! — zarządził Lupin.

Przez wąski dymnik przecisnęło się ich kilku.

Trzeba zdjąć kilka dachówek! — rozkazywał Lupin. — Nie, nie te... tutaj... w tem miejscu wylot rury znajdować się musi.

Trzech ajentów zabrało się do zdejmowania dachówek.

— Ach, otóż go mamy! — wykrzyknął jeden z nich.

Nachylili się, zaglądając wszyscy. Lupin miał słuszność. Pod dachówkami, spoczywającemi na pół przegniłych łatach, znajdowała się pusta przestrzeń, w najwyższem miejscu nie wyższa nad metr. Tu z podłogi, względnie z sufitu poddasza, wynurzał się drugi koniec ołowianej rury. Obok sterczącego tam komina człowiek — trup raczej, niż człowiek, leżał na ziemi; twarz jego siną wykrzywiał wyraz bólu. Łańcuchy, przytwierdzone do kółek żelaznych, wpuszczonych w mur komina, więziły go — dwie puste miseczki stały obok na podłodze.

— Umarł — westchnął sędzia śledczy.

— Co tam pan wiesz! — odburknął Lupin.

Przysunął się ostrożnie, wymijając przegniłe belki i zbliżył się do leżącego ciała, a za nim pan Formerie i p. Weber.

— Oddycha jeszcze — rzekł Lupin, zbadawszy leżącego.

— Tak, serce bije jeszcze, chociaż słabo... — przytwierdził p. Formerie.

— Mleka! — zawołał Lupin. — Trochę mleka rozcieńczonego wodą. Tylko prędko, a jeszcze zdołamy go odratować.

W dwadzieścia minut później stary Steinweg otworzył oczy.

Lupin, który klęczał przy nim, szepnął powoli, wyraźnie, tak, iżby każdy wyraz wyrył się w świadomości biedaka.

— Słuchaj, panie Steinweg, nie zdradzaj nikomu tajemnicy Piotra Leduc. Ja, Arsen Lupin odkupię ją od ciebie za cenę, jaką naznaczysz. Pozwól mi działać.

— — — — — — — — — — — — — —

Sędzia śledczy ujął Lupina pod ramię i zapytał poważnie:

— A pani Formerie?

— Pani Formerie jest wolna. Oczekuje pana z niecierpliwością.

— Jakżeż to?...

— Ja dobrze wiedziałem, panie sędzio, że pan się zgodzi wkońcu na tę małą wyprawę, którą ja panu zaproponowałem. Odmowa z pańskiej strony była rzeczą niemożebną.

— A to dlaczego?

— Gdyż pani Formerie nazbyt jest ładna!

Rozdział II.

I.

Po kwadransie szwedzkiej gimnastyki, którą uprawiał co rano, Lupin zasiadł przed stołem i zaczął z białych ćwiartek numerowanego papieru kleić koperty. Było to zajęcie, które, korzystając z prawa, obrał sobie dobrowolnie.

Nagle zgrzytnęły rygle, klucz przekręcił się w zamku. Wszedł strażnik więzienny.

— Wizyta do pana — oznajmił lakonicznie.

W drodze do rozmowy Lupin rozmyślał.

— Jeżeli to to, co przypuszczam, to przyznać sobie muszę, że majster ze mnie nielada. W cztery dni z głębi więzienia postawić tak sprawę na nogi, to przecież nie mała sztuka!

— — — — — — — — — — —

Kto odwiedza więźnia za wyraźnym pozwoleniem, podpisanem przez dyrektora pierwszego oddziału w prefekturze policyi, wprowadzanym bywa do ciasnych celek, służących za rozmownicę. Te celki, przedzielone przez pół podwójną kratą na odległość pół metra, mają dwoje drzwi, z których każde wychodzą na inny korytarz. Więzień wchodzi jednemi drzwiami, odwiedzający go drugiemi. Nie mogą więc ani dotknąć się, ani rozmawiać cicho, ani niczego sobie podać. Oprócz tego w pewnych razach strażnik obecny jest przy spotkaniu.

Tym razem zaszczyt ten przypadł w udziale naczelnemu strażnikowi.

— Któż u licha dostał pozwolenie odwiedzenia mnie? — zawołał Lupin, wchodząc.

Podczas gdy strażnik zamykał drzwi, zbliżył się do kraty i ciekawie przyglądał się osobie, która stała w półcieniu za drugą kratą.

— Ach to pan, panie Stripani! — zawołał z radością. — Jakżeż się cieszę, prawdziwie!

— Tak, to ja, mój drogi książę!

— Tylko proszę bez tytułów, mój drogi panie. Tutaj wyrzekłem się wszystkich tych ziemskich próżności. Nazywaj mnie pan Lupin poprostu.

— Niech i tak będzie, ale ja znałem księcia Sernina; to książę Sernin wyratował mnie z biedy, wrócił mi szczęście i majątek i pan rozumie, że dla mnie, zostanie pan zawsze księciem Serninem.

— Do rzeczy, panie Stripani... do rzeczy! Czas naczelnego strażnika drogi jest i nie mamy prawa nadużywać go. Krótko mówiąc, co pana tu sprowadza?

— Co mnie sprowadza? O mój Boże, to takie proste! Pan jeden masz w ręku wszystkie nici tej ważnej sprawy, która mnie tyczy i możesz odeprzeć nowy cios, który mi grozi. Pan prefekt policyi zrozumiał to, gdy mu przedstawiłem...

— To też zdziwiłem się, że pana upoważniono...

— Drogi książę, on mi tego odmówić nie mógł. Pańskie wmieszanie się jest niezbędnem dla sprawy, która dotyka tych ważnych interesów, nie tylko moich, ale i osobistości wysoko postawionych, jak to panu wiadomo...

Lupin z pod oka zerkał na strażnika. Ten słuchał ciekawie i uważnie, przechylony naprzód, chciwy zrozumieć tajemne znaczenie słów zamienianych.

— To znaczy, że...

— To znaczy, że błagam pana, kochany książę, byś przypomniał sobie wszystko, co dotyczy tego dokumentu...

Uderzenie pięścią w szczękę, trochę poniżej ucha... strażnik naczelny zachwiał się parę razy i jak martwy, bez jednego jęku, padł w objęcia Lupina.

— No, to poszło, jak po maśle! — Uśmiechnął się Lupin. — Słuchaj pan, panie Steinweg, czy masz pan przy sobie chloroform?

— Czy on tylko naprawdę zemdlał?

— I jak jeszcze! Starczy mu na trzy albo cztery minuty... ale nam to nie wystarczy.

Niemiec wyciągnął z kieszeni rurkę mosiężną, którą wydłużył, jak teleskop, a do której końca przytwierdzony był maleńki flakonik.

Lupin odebrał flakonik, wylał kilka kropel na chustkę i podsunął chustkę pod nos strażnika.

— Doskonale! Teraz mamy spokój! Posiedzę za to z tydzień, albo dwa tygodnie w ciemnicy, ale to już są przyjemności zawodowe.

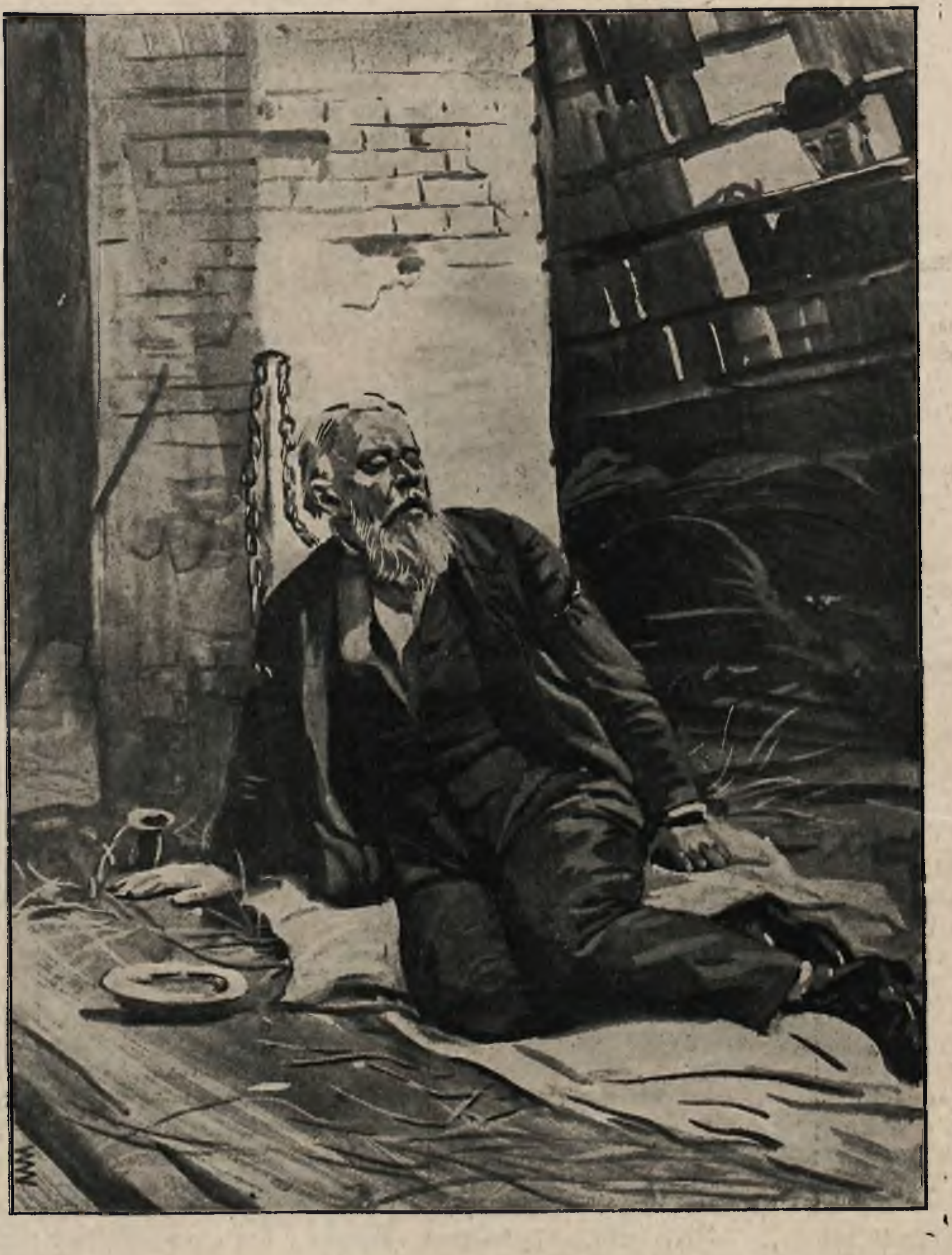
— A ja?

— Panu nic nie mogą zrobić. Pan wczoraj najlegalniej w świecie podałeś prośbę, jako Stripani. Dziś rano otrzymałeś pan pozwolenie. Że to pozwolenie jest sfałszowane, czyż pan za to odpowiada? To tylko moich przyjaciół, którzy zredagowali fałszywe pozwolenie, mogliby niepokoić. Ale szukaj wiatru w polu!...

— A jeżeli nam przeszkodzą?

— Dlaczego?

— Wszyscy tu mieli zdziwione miny, gdy ja ukazałem pozwolenie na odwiedzenie Lupina. Dyrektor wezwał mnie do siebie i oglądał mnie na wszystkie boki. Ani wątpię, że stąd zatelefonowali do prefektury policyi.



Obok sterczącego tam komina człowiek leżał na ziemi.

— I ja tego jestem pewien. Ale nie trap się, mój stary. Przewidziałem wszystko. Możemy spokojnie rozmawiać. Myślę, że skoro tu przyszedłeś, wiesz pan, o co chodzi?

— Tak jest. Przyjaciele pańscy wytłómaczyli mi to.

— Zgadzasz się zatem?

— Człowiek, który ocalił mnie od śmierci, może mną rozporządzać. Jakąkolwiek przysługę mógłbym mu oddać, zawsze jeszcze jego dłużnikiem zostanę.

— Zanim wydasz mi swą tajemnicę, zastanów się nad położeniem, w jakiem ja się znajduję... uwięziony... bezsilny...

— Nie żartuj pan — roześmiał się Steinweg. — Wydałem tajemnicę mą Kesselbachowi, ponieważ był bogaty i mógł z niej lepiej, niż kto inny, skorzystać; ale choć pan jesteś więźniem i bezsilnym, uważam pana za sto razy silniejszego od Kesselbacha z jego stu milionami...

— Jeżeli tak, mówżeż więc. Po kolei zatem. Najpierw — kto jest mordercą?

— Tego wyjawić nie mogę!

— Jakto? nie możesz? Skoro wiesz i chcesz odkryć mi wszystko?

— Wszystko, tylko nie to jedno.

— Ależ proszę cię!

— Później!

— Szalony jesteś! Ale dla czego?

— Nie mam dowodów. Później, gdy pan odzyskasz wolność, poszukamy razem. A zresztą na co to! Doprawdy, nie mogę!

— Boisz się go?

— Tak, boję się...

— No trudno. Ostatecznie, to jeszcze nie najważniejsze... Odpowiedz mi więc, jak się nazywa Piotr Leduc?

— Herman IV, wielki książę Dwóch Mostów—Veldenz, książę na Berncastel, hrabia Fistingen, pan na Wiesbaden etc.

Lupin aż zadrżał z radości, dowiadując się, że pupil jego nie jest ostatecznie synem rzeźnika.

— No! no! — szepnął — ładna lista tytułów!... O ile wiem, wielkie księstwo Dwóch Mostów-Veldenz leży w Prusiech.

— Tak, leży nad Mozelą. Ród książąt Veldenz jest gałęzią rodu książąt Dwóch-Mostów. Wielkie księstwo okupowała Francya po pokoju w Luneville. W roku 1814 przywrócono je Hermanowi I, pradziadowi naszego Piotra Leduc. Syn jego, Herman II, miał młodość burzliwą, zrujnował się sam, zrujnował finanse swego państwa i naraził się swoim poddanym, tak że ostatecznie spalili częściowo stary zamek Veldenz i wygnali pana swego z kraju. Wielkiem księstwem rządzili odtąd trzej regenci w imieniu Hermana II, który wszelako nie abdykował i tytuł panującego księcia zachował. Żył później skromnie w Berlinie, wziął udział w kampanii przeciwko Francyi przy boku Bismarka, który go darzył przyjaźnią i zginął ugodzony odłamkiem kartacza przy oblężeniu Paryża. Umierając, powierzył opiece Bismarka syna swojego Hermana III.

— Ojca naszego Piotra Leduc.

— Tak jest. Bismarck polubił bardzo Hermana III i używał go do różnych tajnych misyi dyplomatycznych. W dobie upadku swego protektora, Herman III porzucił Berlin, podróżował, wreszcie osiedlił się w Dreźnie. Tam znajdował się w epoce śmierci Bismarka; sam umarł w dwa lata później. To są fakta ogólnie w całych Niemczech znane.

— A Herman IV?

— Zaraz. Przejdźmy do faktów nieznanych.

— A które pan jeden znasz?

— Ja i jeszcze kilka osób.

— Więc tajemnica nie jest dochowaną?

— Owszem, owszem, tajemnicy pilnie strzegą ci, którzy ją znają. Nie lękaj się pan, tamci wielce są w tem zainteresowani, ażeby jej nie rozprzestrzeniać.

— A skądżesz pan ją znasz?

— Powierzył mi ją stary służący i poufny sekretarz wielkiego księcia Hermana. Ten służący na moich rękach w Kaplandyi umierał, zwierzył mi najpierw, że pan jego potajemnie się ożenił, a potem, że pozostawił syna. Nadto wyjawił mi ową cenną tajemnicę.

— Mówże pan, mów!

W chwili, gdy wymawiał te słowa, dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku.

— Cicho! — szepnął Lupin.

Przycisnął się do ściany tuż przy drzwiach. W chwili, gdy drzwi się otworzyły, trzasnął niemi z całej siły, potrącając wchodzącego strażnika. Błyskawicznym ruchem chwycił go za gardło, powalił o ziemię, chustką jego własną zakneblował mu usta, swoją zaś związał mu ręce.

— Leż teraz cicho! — rzekł — przysłano cię na pomoc naczelnemu strażnikowi w razie potrzeby... zapóźno jednak... Widzisz?... naczelny strażnik nie żyje! Jeżeli się poruszysz, jeżeli wołać będziesz, czeka i ciebie ten sam los!

Wyjął klucze z kieszeni leżącego i klucz wsunął w zamek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lwowianie na wystawie w Żółkwi.

Otwarta niedawno wystawa przemysłowo-rolnicza w Żółkwi cieszy się bardzo dużem powodzeniem. Zwiedza ją bardzo licznie publiczność miejscowa oraz z bliskich okolic, a także z odległych stron bardzo wiele osób przybywa, aby oglądnąć rezultaty usilnej pracy na polu uprzemysłowienia kraju. Wskutek tego ruch w mieście Żółkwi panuje wielce ożywiony, zmienił się też wygląd tego cichego zwykle i spokojnego miasteczka.

Największą z dotychczasowych była wycieczka lwowska, zorganizowana staraniem „lwowskiej pomocy przemysłowej", z którą przybyło do Żółkwi na wystawę przeszło 150 osób ze wszystkich warstw ludności stolicy. I tak wzięli w wycieczce udział prócz członków „Ligi pomocy przemysłowej", członkowie lwowskiej izby rękodzielniczej ze swem prezydyum, towarzystwo uczestników powstania 1863/4 r., lwowska pomoc przemysłowa, „Czytelnia kolejowa", kilku radnych miejskich, przedstawiciele prasy itd.

Przybyłych licznie lwowian powitał u wejścia na wystawę prezes komitetu p. Stefan Kozicki, poczem prezes „pomocy przemysłowej", radca Aleksander Lewicki, podziękował za serdeczne przyjęcie imieniem uczestników wycieczki, a następnie zwiedzono piękną wystawę bardzo szczegółowo pod przewodnictwem członków komitetu.

Po południu uczestnicy wycieczki wzięli gremialnie udział w poważnym wiecu przemysłowym, na którym wygłoszono szereg referatów.

Wieczór tego samego dnia odjechali lwowianie z powrotem do domu, wywożąc szereg bardzo miłych wspomnień i wrażeń.

Nowy dyrektor szkoły rolniczej w Cieszynie.

Wydział krajowy w Opawie zamianował dyrektorem szkoły rolniczej w Cieszynie p. Walentego Hłynia z Galicyi. P. Hłyń, absolwent wyższych zakładów rolniczych, dał się poznać na Śląsku jako znakomity znawca rolnictwa, już w czasie działalności na stanowisku sekretarza Towarzystwa rolniczego w Cieszynie, tak że po śmierci znanego na ziemiach polskich śp. Szylińskiego otrzymał zawiadowstwo tej szkoły, a obecnie został stałym jej dyrektorem.



Nowy dyrektor szkoły rolniczej w Cieszynie: Walenty Hłyń.

Jak ważny jest ten posterunek nie tylko ze względów ekonomicznych, ale i narodowych, o tem szeroko rozwodzić się zbyteczne, a nominacya p. Hłynia daje pełną rękojmię, że zadaniem tej szkoły będzie wychowanie prawdziwe w duchu wskazanym a nie germanizowanie młodych sił wiejskich.

Pieszo dookoła świata.

Wnet po owych sławnych turystach włoskich z beczką, zjawiły się w Krakowie dwie pary piechurów, studentów rosyjskich, którzy przedsięwzięli podobną podróż dookoła świata pieszo, bez pieniędzy, utrzymując się ze sprzedaży kartek korespondencyjnych.

Pierwszą parę stanowili Włodzimierz Korowin i Jerzy Polewoj, obaj z Moskwy, którą opuścili w połowie lipca br. Na Petersburg, Psków, Wilno i Warszawę przybyli oni do Krakowa, a po kilkudniowym odpoczynku ruszyli w dalszą drogę na Wiedeń, Włochy, Szwajcaryę, Francyę i Hiszpanię do Afryki, skąd popłyną do Ameryki, następnie do Australii, Japonii, przejdą całą Azyę, półwysep bałkański i przez Odessę wrócą do Moskwy. Dziennie zamierzają ci turyści przebywać po 40—50 klm., a cała podróż obliczona jest na 5 lat.

Druga para, Michał Płamieniewski i Mikołaj Stepnow idą mniej więcej w tym samym kierunku, wyszedłszy za tamtymi z Moskwy o tydzień później. W Krakowie niespodziewanie się zetknęli.

Obie pary turystów zapewniają, że podróż ich ma na celu studya etnograficzne i poznanie świata, prawdopodobnie jednak jest to przedsięwzięcie o podkładzie mniej poważnym, raczej sportowe cele mające na oku, niż naukę.

Zdjęcia fotograficzne obu par turystycznych zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Cesarz Wilhelm na Węgrzech.

Prawie corocznie bawi na Węgrzech, jako gość któregoś z arcyksiążąt, cesarz Wilhelm niemiecki. Daje przez to dowód trwałości trójprzymierza, a przytem kurtoazyi wobec Węgrów, których nieustannie kokietuje. Mile łechce to ich dumę, że właśnie na



Lwowianie na wystawie w Żółkwi: Uczestnicy wycieczki „Lwowskiej pomocy przemysłowej" na wystawie w Żółkwi.

ich ziemi, a nie gdzieindziej, odbywają się te polityczne zjazdy.

W ubiegłym tygodniu przybył cesarz Wilhelm do Kiskoeszek w komitacie Baranya, gdzie nań już oczekiwał arcyksiążę Fryderyk z małżonką, którego był gościem. Po drodze, na wyraźne życzenie cesarza, nie było nigdzie oficyalnego przyjęcia, obawiał się bowiem zetknięcia z ludnością okolic, nawiedzonych cholerą. Cesarz przybył tu na polowanie, bezpośrednio zaś stąd udał się do Schönbrunnu, aby odwiedzić cesarza ustryackiego.

Rewir Béllye, gdzie odbyły się polowania, jest jedną z najpiękniejszych okolic Węgier. Rozciąga się po obu brzegach Dunaju, który w tem miejscu rozlewa się nader szeroko i tworzy mnóstwo wysepek i olbrzymie moczary, porosłe wysoką trzciną, przypominające bardzo indyjskie dżungle. Miejscami wznoszą się wspaniałe lasy, w których znajdujemy prawdziwe dęby-olbrzymy, o jakich czytamy chyba w opisach puszcz amerykańskich, słowem, okolica ta jest prawdziwym rajem dla myśliwych.



Cesarz Wilhelm na Węgrzech: Pałacyk myśliwski w Karapancsa.

Roi się też formalnie od rozmaitej zwierzyny. Gdy dawniej miało tu swą siedzibę przeważnie tylko ptactwo wodne i błotne, dziś spotykamy i grubszą zwierzynę w wielkiej ilości, zwłaszcza od czasu, gdy obwałowano brzegi Dunaju i ochroniono w ten sposób nadbrzeżne obszary od corocznych wylewów. Dowodem tego jest ilość ubitej zwierzyny, która w r. 1909 wynosiła 5957 sztuk, a wartość jej doszła trzydziestu pięciu tysięcy koron.

Cały majorat, obejmujący ogółem 826 kilometrów kwadratowych obszaru, należy do największych majątków na Węgrzech. Na tej przestrzeni znajduje się trzydzieści pięć miejscowości z blisko czterdziestotysięczną ludnością. Gospodarstwo rolne jest także w stanie najpiękniejszego rozkwitu, środkiem zaś majątku ciągną się słynne winnice, dostarczające wina, znanego w handlu pod nazwiskiem Villanyer.

Majorat, należący obecnie do arcyksięcia Fryderyka, był niegdyś własnością słynnego pogromcy Turków, księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Z czasem dostał się on arcyksięciu Albrechtowi, po nim zaś przeszedł na obecnego właściciela.

Punktem środkowym jest zameczek w Karapancsa na wschodnim brzegu Dunaju nad ramieniem, tworzącem wyspę mohácską.

Pamięci znakomitego architekta.

W ostatnim dniu zjazdu polskich techników we Lwowie, odbytego w ubiegłym tygodniu, dokonano odsłonięcia biustu śp. prof. Juliana Zacharyewicza, który to biust ustawiony został w westibulu gmachu politechniki, celem uczczenia pamięci tego znakomitego polskiego architekta i zasłużonego profesora.

Śp. Zacharyewicz, zmarły 1898 r., był uczniem i wychowankiem lwowskiej politechniki, a następnie wysunąwszy się swemi znakomitemi pracami na czoło polskich architektów, jej profesorem. Z prac śp. Zacharyewicza wspomnieć należy przedewszystkiem o gmachu politechniki we Lwowie, wystawionym wedle jego projektu i planu, dalej o pię-



Pieszo dookoła świata: Włodzimierz Korwin i Jerzy Polewoj, odbywający pieszo podróż dookoła świata.



Pieszo dookoła świata: Michał Płamieniewski i Mikołaj Stepnow z Moskwy, odbywający pieszo podróż dookoła świata.



tekturę polską i lwowską szkołę politechniczną, to też jej profesorowie i uczniowie postanowili uczcić pamięć znakomitego architekta a swego kolegi i profesora, ustawieniem marmurowego biustu w westybulu gmachu szkoły. Pracę nad wykonaniem biustu powierzono prof. Bełtowskiemu, który wywiązał się świetnie

a niżej: „Grono profesorów swemu koledze, uczniowie swemu mistrzowi“.

Odsłonięcie odbyło się w uroczysty sposób w poprzednią niedzielę przy udziale licznej publiczności i uczestników zjazdu techników. Imieniem grona profesorów przemówił pierwszy prof. Dzieślewski, podnosząc wielkie zasługi zmarłego architekta, zarówno jako profesora i przyjaciela młodzieży, jak jako obywatela kraju i miasta. W zakończeniu oddał prof. Dzieślewski pomnik w opiekę rektorowi, jako gospodarzowi gmachu. Przemawiał następnie rektor Pawlewski, p. Żeleński, b. uczeń śp. Zacharyewicza i słuchacz architektury St. Wierzchowski,



Cesarz Wilhelm na Węgrzech: Olbrzymi dąb o dziewięciu metrach obwodu w rewirze Béllye.

Cesarz Wilhelm na Węgrzech: Słomiane chaty koło Béllye.

knym kościele PP. Franciszkanek we Lwowie, dalej o dworcu kolejowym w Jassach, synagodze w Czerniowcach i wielu, wielu innych.

Zgon prof. Zacharyewicza okrył żałobą archi-

z powierzonego mu zadania. Biust z białego kararyjskiego marmuru wznosi się na postumencie z szarego marmuru. Na cokole widnieje napis: „Julian Zacharyewicz 17/VII. 1837 — 27/XII. 1898“

imieniem związku słuchaczów architektury i ogółu młodzieży lwowskiej.

Złożeniem wieńca od krakowskiego koła architektów u stóp pomnika zakończyła się uroczystość.



Fot. M. Münz, Lwów.

Strajk tramwajarzy we Lwowie: Grupa strajkujących funkcyonaryuszy tramwaju elektrycznego we Lwowie.



Z życia Polonii na Bukowinie: Żywy obraz w czasie obchodu grunwaldzkiego w Suczawie.

Z życia Polonii na Bukowinie.

W Suczawie, tej świetnej ongiś stolicy multańskich hospodarów, mieszka już od dawna liczna ludność polska, mająca tu pewne historyczne prawa bytu, dowodem których między innymi fortyfikacya w pobliżu miasta, t. zw. Zamka, wybudowana jeszcze przez króla Jana Sobieskiego podczas wojny z Turkami. Ludność ta narażona jednak jest, jak wogóle Polonia w całej Bukowinie, na zupełną germanizacyę, względnie rumunizacyę. I nie dziw. Urzędy, szkoły, przemysł i handel, spoczywający tu prawie wyłącznie w rękach żydowskich, wszystko to niemieckie lub rumuńskie. A jeśli się do tego zważy, że szkół tam, mianowicie niemieckich, aż zanadto, podczas gdy polskie dzieci po wsiach wyrastają bez szkół, bez wychowania, łatwo pojąć, jakie nam niebezpieczeństwo grozi.

Wprawdzie obudził się w ostatnich czasach i na Bukowinie polski duch i powstają szlachetni przywódcy, nawoływujący do zjednoczenia i do zgody, budzący w ludności polskiej świadomość i poczucie godności narodowej, ale z przestrachem i rozpaczą załamuje ręce oburzona wprawdzie, lecz na własne siły skazana Polonia bukowińska, patrząc na coraz bardziej ścieśniające się kręgi otaczających ją fal germańskich. I tam panuje owa żelazna systematyczność iście krzyżacka i brutalna hakata. „Podcinajcie drzewo u samych korzeni, a ono wnet uschnie; odmawiajcie dziatwie polskiej polskich szkół, a polskość sama zniknie“, oto hasła teutońskiej „kultury“. A praca jej nie bezowocna; dowodem tego niezliczona liczba Niemców i Rumunów z czysto polskiemi nazwiskami.

Istniejące w Suczawie „Towarzystwo bratniej pomocy i Czytelni polskiej“ stara się, mimo ogromnych trudności i przeszkód, rozprószoną, niezamożną ludność polską zjednoczyć, wzmocnić i o ile możności jej tego dostarczyć, czego tutejsze władze i szkoły odmawiają.

Niedawno urządziło wymienione towarzystwo uroczysty obchód grunwaldzkiej rocznicy, by w równym rzędzie stanąć z temi miastami i wioskami Galicyi, które w tym roku jeden z najświetniejszych swoich obowiązków względem Ojczyzny chlubnie spełniły.

Uroczystość tę uwieńczył godnie piękny żywy obraz, przedstawiający hołd grunwaldzki, niesiony Polsce-Królowej.



Strajk tramwajarzy we Lwowie: Remiza kolei elektrycznej na Wulce we Lwowie, otoczona wojskiem. (Fot. M. Münz, Lwów).

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

4

Tym człowiekiem byłem ja. Wyszedłszy z domu o wpół do ósmej, ubrany w moją długą zarzutkę piaskową, śpiesznie wszedłem w gęstwinę lasków, które wieńcem zieleni okalają miasto Broad-West. Natychmiast, skoro tylko ukryłem się przed okiem ludzi, wlazłem w rów i tam zdjąłem moją zarzutkę, która ma właśnie taką kraciastą podszewkę — włożyłem ją podszewką na wierzch, a poły schowałem w spodnie; tym sposobem odrazu przybrałem wygląd parobka. Ukrywszy następnie kapelusz mój w krzakach, wyciągnąłem z kieszeni czapeczkę szkocką, a natarłszy twarz maścią mego wynalazku, która to maść ma własność zmieniania twarzy do niepoznania, gdyż marszczy skórę i nadaje jej ziemisty kolor, odważnie ruszyłem ku szaletowi, pewien, że tam znajdę klucz tajemnicy morderstwa w Green-Park. Doszedłszy do furtki, zauważyłem z boku na małem podwórku automobil, mocno zakurzony, który poznałem natychmiast. Szofer w ubraniu jak do roboty, obmywał niedbale maszynę, podśpiewując sobie fałszywym głosem.

— To on — pomyślałem.

Przystanąłem i poprzez pręty ogrodzenia zacząłem gapić się na niego, ustroiwszy możliwie najgłupszą minę.

— Cóż ten pijak tak się na mnie gapi? — zawołał spostrzegłszy mnie. — Taki pan stajenny zapewne nigdy jeszcze nie widział maszyny o sile sześćdziesięciu koni?

— Przepraszam, kolego — odpowiedziałem, przybierając akcent chłopski okoliczny — ja także rozumiem się na benzynowych powozach, a nawet mogę, jeżeli chcecie, naprawić wasz pneumatyk z prawego koła, bo jakiś jest okaleczały!

Tamten spojrzał na mnie z zdziwieniem.

— A to dopiero! chciałbym też wiedzieć, jakim sposobem z miejsca, gdzie jesteś, mogłeś zobaczyć, że mój pneumatyk z prawego koła potrzebuje reparacyi!

— A jednak zobaczyłem i dobrze zobaczyłem...

— No to, jak widzę, nie takiś ty głupi, jak się wydajesz.

Pozyskałem zaufanie szofera. Szofer ten był to rudy, silny chłop, o okrągłych, wypukłych oczach i silnie wydatnych skroniach, co zazwyczaj bywa złym znakiem. Podszedł ku mnie z miną jowialną.

— Więc ty mi proponujesz, że naprawisz ten pneumatyk — rzekł. — Gotów jestem przyjąć, ale wpierw muszę wiedzieć, ile za to będziesz żądał?

— Sześć pensów.

— Sześć pensów... no dobrze i jeszcze dam ci kieliszek whisky w dodatku — rzekł, otwierając mi furtkę.

Znalazłem się w obrębie podwórza. Należało teraz sprytnie grę prowadzić; to też zabrałem się dzielnie do roboty.

Podczas, gdy mój szofer, siadłszy na odwróconym szafliku, z błogością kurzył fajeczkę, ja mozoliłem się nad pękniętym pneumatykiem. Byłem dawniej właścicielem automobilu, a uie mogąc płacić szofera, musiałem nieraz z konieczności sam babrać się przy maszynie. W jakieś więc pół godziny guma naprawiona, świeżo powietrzem wydęta, leżała na kole.

Przez cały czas roboty rzucałem raz po raz ukradkowe spojrzenia na siedzącego draba. Nie spuszczał ze mnie oczu, a zręczność moja wprawiała go w coraz większy podziw.

— Wiesz co, chłopcze — odezwał się, gdy skończyłem — ty się wcale nieźle bierzesz do tego... Tyś chyba służył jako szofer?

— Tak jest — odpowiedziałem smutno. — Ale mnie mój pan odprawił.

— Boś może za wiele pociągał wódeczki?

— Nie... ale dla tego, że już mój pan nie mógł płacić.

— To powód ważny... rozumiem.

— A ty to się nie boisz, żeby ci się coś podobnego nie przytrafiło? — zapytałem go z kolei.

Usta jego rozszerzyły się od ucha do ucha.

— O, ja!... — i uśmiechnął się z litością, protekcyonalnie.

Nadto ruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: o tem nawet niema mowy!

— To ty masz dobrego pana? — ciągnąłem dalej.

— Jakto? toś ty nie słyszał o panu Gilbercie Crawfordzie?

— Nie, ja nie pochodzę z tej okolicy, ja przybywam z Sandhurst.

— Wszystkim, którzy służą, życzę tylko takiego pana, jak mój!

— Czy płaci regularnie?

— Jak zegarek... a przytem, tu brzęczy!...

— Co takiego?

— No! złotko brzęczy — dalibóg!

— Dużo go tu jest?

Zrobił gest, obejmujący szeroką przestrzeń.

— Ty, bo masz szczęście — szepnąłem. — Ale ja jestem bez miejsca.

Szofer zamyślił się przez chwilę, poczem poufale ujął mnie pod ramię.

— Słuchaj — rzekł — miejsce jest dobre, ale mój pan jest trochę wymagający... Każdy w tym domu ma wyznaczoną robotę, ale jest nas trochę za mało.

— Ale w każdym razie twój pan trzyma szofera?

— Naturalnie, ja nim jestem!

— I pokojówkę?

— Z czego to wnosisz?

— Ejże! A te fartuszki i białe czapeczki, które się tam suszą na płocie!

— Ty sprytny jesteś... Ty wszystko zauważysz na pierwszy rzut oka... Mamy także kucharza, nazywa się Picklock; rzadko kto tak umie budyń przyrządzać, jak on.

I mój towarzysz roześmiał się, klapnąwszy mnie po plecach.

Irytował mnie ten szofer; przedewszystkiem robił na mnie wrażenie chytrego bydlęcia i myślałem sobie w duszy: „to musi być jakiś łotr, już karany, może skazaniec, zbiegły z galer?...“

Mimowolnie spojrzałem na jego nogi: miał na nich pantofle, które mi się wydawały ogromne, ale ten trzewik, którego ślad zapamiętałem, był także porządnie wielki. Ach, muszę ja ten trzewik zdobyć... Na dno studni poszedłbym po niego... Zgadywałem, że cel moich marzeń musi być gdzieś niedaleko, może tam, za tym zielonym trawnikiem... i mierzyłem okiem odległość, chciwie przyglądając się nieregularnej fasadzie pawilonu, położonego naprost szopy. Szofer jednak omylił się co do kierunku mych tajemnych myśli.

— Dobrzeby ci tu było... co, ptaszku? — rzekł. Podziwiasz klatkę, dobrze to rozumiem!... ale naprawdę, niema tu miejsca dla ciebie... Jednakże, że to ja jestem dobry kolega, a ty mi się podobasz... gdyż jesteś zręczny i giętki... Wiesz co, ja tobie zaproponuję pewien interes!

— Nie mam miejsca, przyjąłbym cobądź.

— No to słuchaj. Dam ci chwilowo służbę u siebie... nie u mojego pana... u muie... czy widzisz różnicę? Praca tu jest bardzo ciężka, ale że jest dobrze wynagrodzona, więc mogę sobie pozwolić na zbytek służącego.

— Tak... tak... — przytwierdzałem głupowato.

— Widzisz, chłopcze, ja ci to muszę powiedzieć: jestem trochę chory na wątrobę... przytem takie mam długie loki, że ciężko mi schylać się.

— Tak! rozumiem! — przytakiwałem w dalszym ciągu.

— No tak... to też dziś, uważasz, nie mam gustu do roboty... miałem wczoraj wyjście, więc rozumiesz...

— A często wam pozwalają wychodzić?

Szofer spojrzał na mnie z miną przebiegłą.

— Nigdy — odpowiedział — ale za to my sobie pozwalamy. Wieczorem poszedłem do Melbourne i tam piłem całą noc; wróciłem rannym pociągiem zbity, zmarnowany, jak wymłócony snopek.

Nastawiłem uszu.

— Ach, nazbyt ufny panie Crawford! — pomyślałem w duchu. Tamten zaś ciągnął dalej:

— A teraz, zamiast odpocząć, muszę czyścić tę maszynę, a potem froterować pokoje, gdyż to dziś dzień od porządków.

— Tak, rozumiem — ty byś chciał, żebym ci trochę dopomógł i żebym cię wyręczył przy sposobności?

— Otóż to właśnie... no, słuchaj, może się to jakoś ułoży... Będę ci dawał pięć szyllingów tygodniowo i podzielę się z tobą jedzeniem... ja tam zresztą niewiele jadam... ja raczej miewam pragnienie; to pewnie z tego pochodzi, że długo przebywałem w gorących krajach. Co do mieszkania, to jakoś się to zrobi... będziesz sypiał na strychu... Jak ci się to widzi?

— Ja bo owszem... Ale co powie twój pan, jeżeli mnie przypadkiem zobaczy?

— Nie turbuj się tem, chłopcze, on ma do mnie ślepe zaufanie; gdyby mnie przypadkiem zapytał, coś ty za jeden, opowiem mu, że ty się nazywasz Stang, tak jak i ja, że jesteś mój krewniak i że przyjeżdżasz z Anglii.

— Dziękuję ci — rzekłem. Po chwili zaś zapytałem jeszcze:

— A pana Colforda nie ma w domu?

— Crawforda — poprawił mój „kuzynek“ — a po czemże to poznajesz?

— Po niczem... tak tylko pytam.

— Rzeczywiście... wyjechał, nie wiem dokąd... ale napewno wróci około ósmej najpóźniej... gdyż on nigdy nie nocuje za domem... To człowiek bardzo — za bardzo spokojnego życia! Zaledwie zje obiad, kładzie się spać i to jest jedna zła strona tej służby... Ale ja to później ci wyjaśnię. A tymczasem wyczyśćmy naprzód automobil, a potem pójdziemy pomódz Betsy, pokojówce... To dobra dziewczyna, której zdaje mi się, że nie jestem obojętny; wystarczy, bym jej powiedział, że jesteś moim kuzynem, a przyjmie cię po przyjacielsku. Zresztą Betsy mnie potrzebuje... oddaję jej niekiedy małe przysługi i ona mi za to wdzięczna... Dalej chłopcze do roboty, czyśćmy maszynę... ach, co za kurz! mój Boże, co za kurz!

Czyż potrzebuję dodawać, że Stang mi ani przez chwilę nie pomagał? Był to leń skończony, miał wstręt do pracy wrodzony i o tem tylko myślał, jakby tu żyć, nic nie robiąc... A przecież próżniactwo prowadzi do wszystkiego złego... do zbrodni nawet! Byłem więc stanowczo na tropie; brakło mi tylko jeszcze trzewika...

Gdy skończyłem czyścić automobil, wtoczyliśmy go pod szopę, poczem Stang zaprowadził mnie do willi; pokazywał mi ją z przejęciem i rozmiłowaniem, zdradzającem, że ma gust do zbytku i do wygody. Mimowoli i to wydało mi się obciążającą okolicznością. Pootwierał wszystkie drzwi, ukazując mi szereg pokoi, umeblowanych z wielkim nakładem i elegancyą; niektóre z nich już znałem, ponieważ mnie w nich pan Crawford przyjmował, a przedewszystkiem salonik i ogród zimowy oraz fumoir, wykładany kosztownem drzewem, tak że wyglądał jak wnętrze olbrzymiego pudełka do cygar.

Ten Stang prawie że mnie nie znał, a tak mi odsłaniał wszystkie tajniki domowe. Jakże się to dobrze czuło, że człowiek ten ma w głowie inne zamiary i nie dba o swoje miejsce! Musiał niewątpliwie znaleść skarb u pana Chancera i pewnego pięknego poranka wyniesie się po angielsku, jeżeli mu dam na to czas...

Na pierwszem piętrze przeszliśmy przez długi korytarz, którego ściany stroił zbiór broni malajskich, hawajskich i innych dzikich ludów. Nagle Stang zatrzymał się przed szybką, wprawioną w ścianę na wysokości człowieka. Szyba ta spoczywała po drugiej stronie na gzemsie kominka w spaniałym stylu, zastawionego mnóstwem drobiazgów, oku zaś przedstawiał się widok komnaty, umeblowanej w stylu pałacu w Windsor.

— To sypialnia mojego pana — szepnął mój przewodnik tajemniczo.

— A do czego ma służyć ta szybka?

— My ją nazywamy naszem „obserwatoryum“.

— Skądżeż ta nazwa?

— Ach, to cała historya, mój chłopcze... Wyobraź sobie, że w nocy, co godzina, Betsy, kucharz i ja kolejno musimy tu przychodzić, by przekonać, się, czy pan nasz śpi spokojnie... On cierpi, zdaje się, na jakąś dziwaczną chorobę i trzeba wciąż nad nim czuwać. Mamy rozkaz, gdybyśmy spostrzegli, że śpi na lewym boku, obudzić go natychmiast i dać mu wąchać eter...

— Ale jakżeż wy go widzieć możecie w nocy?

Stang wzruszył ramionami.

— W jego pokoju świeci się lampka nocna... Ach, te spacery po nocy, to istne utrapienie! Ja bo jak się raz obudzę, ani rusz nie mogę zasnąć... Ale co chcesz?... wolna wola. Pan nam z góry postawił ten warunek — kucharzowi, Betsy i mnie, gdy wstępowaliśmy do służby.

— Niekoniecznie przyjemny warunek!

— Ha trudno! Przeszłej nocy to ta biedna Betsy i kucharz zastępowali mnie, a dziś oboje ledwo nogami włóczą, bo każde musiało wstawać po cztery razy, zamiast po dwa... Widzisz tutaj tę tabliczkę? Musimy za każdym razem nacisnąć guziczek tego zegara, przekonawszy się wpierw, że pan Crawford nie leży na lewym boku. Zmyślna maszyna, co? jak to zapisuje godziny i minuty; ani rusz jej oszukać, choćby kto chciał...

— Ach! — pomyślałem w duchu — naiwny z ciebie człowiek, mój panie Crawford! To więc jest ten niezawodny sposób, którym ty się upewniasz, że ludzie twoi nie wychodzą z domu... Przyrząd niczego, ale przy pomocy zaufanej pokojowej i kucharza, twój wierny lokaj, zamiast czuwać nad two-

im snem, hula i pije w Melbourne, o ile twoim własnym automobilem nie jeździ grabić sąsiadów!...

Stang dopatrzył się widocznie ironii w mo'm uśmiechu, gdyż dodał czemprędzej:

— Pojmujesz jednak, mój kochany, że to są oddane rzeczy... Ile razy znowu Betsy albo kucharz mają swoją noc wyjścia, to ja za nich obchodzę kolej cztery razy.

— No tak! rozumiem... rozumiem!...

— Ale mniejsza już z tem. Jest już po dziesiątej i trzeba nam się zabrać do roboty... Szczerze ci wyznam, że wolałbym w cieniu wypalić fajeczkę i wypić kieliszek czegoś dobrego... ale służba przedewszystkiem... No dalej! pójdź! ja będę wycierał posadzkę, a ty ją nacieraj woskiem!

I Stang zaciągnął mnie do komórki, gdzie znalazłem wszystkie przybory, do froterowania potrzebne.

— Zacznij od pokoju pana — rzekł.

W tej chwili otworzyły się drzwi od korytarza i wysoka, chuda dziewczyna o żółtej cerze i zimnych oczach zbliżyła się ku nam z miną godną. Była to Betsy, niewątpliwie. Zresztą widziałem ją już. będąc parę razy u pana Crawforda. Na mój widok twarz jej, długa i ostra, jak brzytwa, przybrała wyraz prawdziwego zdziwienia, a z poza rozchylonych warg wybłysły dwa olbrzymie zęby. Czy poznała mnie, pomimo ucharakteryzowanej twarzy? Niepotrzebnie się przeląkłem.

— Stang, cóż to za człowiek? — zapytała zgorszona.

— Niech się panna Betsy nie boi — odpowiedział towarzysz mój głosem słodziutkim — to mój kuzynek, Ralf... wie panna, ten, o którym tak często mówiłem!

— Ach, ten urwisz, co to służył w szkockich strzelcach w Londynie?

— Tak, panno Betsy, ale on się poprawił od pewnego czasu... Wysłużył swoje, a że szuka jakiegoś miejsca, więc odnalazł mnie i pragnie, żebym się ja nim zajął.

— Z daleka przybył, żeby znaleść miejsce — pogardliwie zauważyła brzydka pokojówka.

— Boże mój! ten biedny chłopak mnie jednego ma na świecie, więc panna to zrozumie... to też ja pozwoliłem sobie zatrzymać go tu do wyręczenia, na mój własny koszt, naturalnie. Będzie się ze mną dzielił jedzeniem i będzie sypiał w komórce na stryszku, dopóki czego nie znajdzie... Trzeba przecież pomódz czasem bliźniemu, a zwłaszcza krewnemu swemu... przecież my nie dzicy ludzie, do licha!

— To dobrze, ale staraj się Stang, żeby pan Crawford nie zauważył tego... bo w takim razie...

— Będę się starał, panno Betsy... ale widzi panna, chciałem go pannie zaprezentować.

Pokojówka nie odpowiedziała nic, ale po spojrzeniu, którem mnie obrzuciła, miarkowałem, że nie wydałem jej się sympatycznym. Nie dziw zresztą, gdyż maść, którą twarz wysmarowałem, nadawała mi potrosze wygląd trędowatego, a przytem, marszcząc skórę i powieki, szczypała mi oczy — wcale ładne skądinąd, jak twierdzi miss Edyta; a miss Edyty główną zaletą jest szczerość...

— No dalej, chłopcze, bierz się do rzeczy — zwrócił się do mnie Stang. — Pokaż pannie Betsy, że nie boisz się roboty.

To też przytwierdziłem dużą szczotkę do mojej prawej nogi, podparłem się szczotką do zamiatania i zacząłem froterować posadzkę z wciekłą zapalczywością... Widząc mnie, mógłby kto myśleć, że całe życie nie robiłem nic innego. Stang wpadał w zachwyt, a Betsy z uszanowaniem kiwała głową. Od czasu do czasu mój „opiekun“, widząc, że posadzki willi znajdują się w dobrych rękach, wychodził za lada wymówką, ja zaś pozostawałem pod nadzorem Betsy, która ze mnie nie spuszczała oka. Możnaby myśleć, że mnie podejrzewała. Kobiety miewają czasem takie intuicye, które do rozpaczy doprowadzić mogą najprzebieglejszego.

Zaczynałem się już niepokoić, czy przyjdzie nareszcie kres mojej męce — o! bo że to była męka, to można wierzyć, tak bez przestanku froterować przy czterdziestostopniowym upale — gdy Stang przyjacielsko klapnął mnie po ramieniu.

— Dosyć już tutaj! — rzekł zachęcająco — a teraz woskiem natrzyj korytarz.

Nie potrafiłem powstrzymać gestu zniechęcenia.

— Ach, wiesz co — dodał szofer — nie fatyguj się za bardzo! Potrzyj trochę szczotką i przejedź po suknie... To wszystko, widzisz, robi się dla zaimponowania Betsy... Rozumiesz mnie, na pierwszy raz...

— Tak... tak... — szepnąłem zadyszany, rzucając głową tak, ażeby strzepnąć krople potu, które wystąpiły mi na czoło. Nie mogłem twarzy obetrzeć chustką, byłbym bowiem starł malowanie, które i tak mięknąć zaczynało.

Przechodząc koło lustra, spojrzałem w nie szybko.

Ohydny byłem... maść rozpłynęła się i tworzyła na twarzy obrzydliwe, lepkie plamy. Ach, jakżeż dobrze zrozumiałem teraz wyraz obrzydzenia na twarzy Betsy!

— Jeżeli jeszcze kwadrans dłużej froterować



Zacząłem froterować posadzkę z wściekłą zapalczywością.

będę — myślałem, nie przestając suwać nogą tam i napowrót — całe moje malowanie spłynie i wyda się incognito!

Na szczęście jednak Betsy wyniosła się ostatecznie i posłyszałem chrzęst spódnic jej, niknący na schodach.

— Ona już nie wróci — uspokajał mnie Stang — odpocznij sobie chłopcze; teraz mamy trzy kwadranse na jedenastą, pójdziemy sobie stąd i wypijemy kieliszek whisky... Mam doskonałą... zobaczysz. Czekaj na mnie tu, zajrzę do pokoju pana, czy tam wszystko jest w porządku... i zaraz wracam...

Opadłem na krzesło zmordowany, wyczerpany, nie mając siły wymówić ani słowa. Popadłem w stan podobny do choroby morskiej... Tańczyło mi wszystko przed oczami i wszystkie przedmioty widziałem jak przez mgłę. Oczekiwałem Stanga niecierpliwie, ale ten szelma nie spieszył się wcale... Co on tam robił w pokoju pana Crawforda?

Ciekawość detektywa wzięła u mnie górę i już miałem wstać i spojrzeć przez szybkę obserwatoryum, gdy wreszcie się ukazał. Miał jakąś dziwną minę — ale może mi się tylko zdawało...

— No chodźmy, chłopcze — rzekł, ujmując mnie pod ramię — napracowaliśmy się dosyć.

I popchnął mnie ku małym schodkom, prowadzącym do przedpokoju, gdzie na ścianie wisiała wielka mapa miasta Melbourne i okolicy, mapa, którą widocznie często oglądano, sądząc po śladach palców na brzegach. Przecięliśmy park na ukos i doszliśmy do małego piętrowego pawiloniku z czerwonej cegły.

— Wejdźmy do mojej nory — rzekł Stang. — Pokażę ci miejsce, które ci ma służyć za pokój sypialny.

Pawilon ten odległy był o jakie dwieście metrów od willi Crawforda. Było to dla mnie nową wskazówką; a więc było zupełnie możebnem, by ktoś mógł wyjechać automobilem, nie zwracając uwagi milionera. Wystarczyło wypchnąć maszynę aż na drogę — co było łatwem, gdyż podwórko było cementowane, z lekkim spadkiem ku bramie — a później można już było spokojnie puścić w ruch maszynę. Wieczorami panuje życie i ruch na tym gościńcu, który z Melbourne prowadzi do Whittlesca, gdyż wielu okolicznych mieszkańców ma zwyczaj wracać z teatru automobilami. Nazbyt ufny pan Crawford nie potrzebował zatem dziwić się, słysząc sapanie motoru w pobliżu swego mieszkania.

— Szelma ten Stang! — myślałem w duchu — jak jemu służą okoliczności! Słowo daję, możnaby pomyśleć, że wszystko umyślnie tak urządzono, aby mu ułatwić te nocne wycieczki... Biedny ten Crawford, wraz ze swojem obserwatoryum i zapisującym zegarem!

Izdebka Stanga znajdowała się na końcu pawilonu; wchodziło się tam po wąskich i stromych, jak drabina, schodkach.

— Jak widzisz — przemówił szofer — niema tu tego komfortu, co u mojego pana... ale cóż! nie można za wiele wymagać... za ścianą jest komórka, tam ja ci urządzę spanie... Wyjmę dwie deski, zrobię połączenie i przekonasz się, że nie będziemy się nudzić... Tymczasem podaj mi tę butelkę whisky, która tam stoi na półce... wyśmienity jest, mówię ci, gładki, jak aksamit!

I Stang, który miłosnym wzrokiem pieścił podaną sobie butelkę, wyjął z szafki dwie szklaneczki i napełnił je po brzegi.

— Zdrowie twoje Ralfie! — rzekł, śmiejąc się grubo.

— Za wasze zdrowie, Stang! — odpowiedziałem, podnosząc szklankę.

— Mówżeż mi „Johnie“... Stang to moje nazwisko!

— Niech i tak będzie — Johnie — wszystko mi jedno!

Tymczasem mój towarzysz już zdążył wychylić swą szklaneczkę; ten Stang to nie był człowiek — to była gąbka.

— Ja bo, jak widzisz, zdrowo piję — oświadczył i mlasnął językiem. I czy to źle? Jakąż przyjemność miałby człek bez tego?

— To prawda — przytwierdziłem.

Stang patrzył na mnie teraz z pewnem zakłopotaniem, ja zaś czytałem z jego oczu, że chciałby mi coś powiedzieć. Przeszedłszy się parę razy po ciasnej izdebce, stanął nareszcie przedemną.

— Słuchaj — rzekł — dobry z ciebie chłopak... mogę ci wszystko powiedzieć, wszak prawda?

— Ależ naturalnie!

— Kiedy tak, to ci się przyznam...

Co on mi powie? Czy też, rozmarzony alkoholem, zwierzy mi się ze swej zbrodni?

A jednak nie... Stang wyznał mi tylko, że ma w Melbourne „rendez vous“ z dziewczyną łatwych obyczajów i że ma zamiar, korzystając z nieobecności pana, iść się zobaczyć z tą panną.

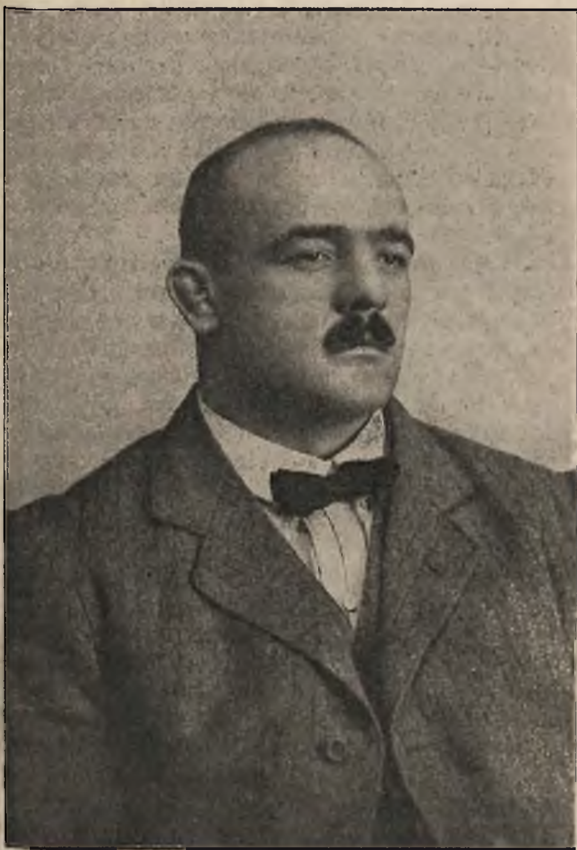
— Możesz tu zostać, jeżeli chcesz — mówił — ale lepiejbyś poszedł zjeść śniadanie w restauracyi... Masz tu pięć szyllingów, to twoja tygodniowa zapłata... płacę ci z góry, widzisz... tylko nie spłataj mi figla i wracaj, co?... bardzo byłoby mi nieprzyjemnie, gdybyś nie wrócił i to nie dla tych pięciu szyllingów, ale, że polubiłem cię i że umiesz froterować, jak nikt... Co za siła w łydce, mocny Boże! Sama Betsy podziwiała!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Strajk tramwajarzy we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 8 i 9.)

Od dłuższego czasu domagali się funkcyonaryusze elektrowni miejskiej we Lwowie, zatrudnieni bądź w centrali, bądź przy tramwaju elektrycznym, polepszenia warunków pracy, w szczególności wyższego wynagrodzenia oraz stabilizacyi i zaopatrzenia na starość. Gmina miasta Lwowa wzięła z całą



Zapasy atletów w Krakowie: Stanisław Zbyszko-Cyganiewicz.

życzliwością te żądania swych pracowników pod rozwagę i właśnie niedawno uchwaliła rada miejska pewną podwyżkę płac dla funkcyonaryuszów zakładów elektrycznych, przyrzekając nadto w miarę możności załatwić także inne ich postulaty. Na razie bowiem budżet miasta Lwowa i tak niezbyt pomyślnie się przedstawiający, nie pozwalał na dalsze ustępstwa.

Niestety robotnicy miejscy, którym obecna drożyzna dała się bardzo we znaki, nie chcieli uwzględnić położenia gminy i postawili sprawę na ostrzu miecza, grożąc w razie odmowy ze strony miasta wstrzymaniem się od pracy. I ta groźba jednak nie mogła wpłynąć na stanowisko rady miejskiej, to też żądania robotników o dalszą podwyżkę spotkały się z stanowczą odmową.

Równocześnie wystąpili z żądaniami podobnemi funkcyonaryusze miejskiej gazowni i również zagrozili strajkiem na wypadek odmowy. Rada miejska zajęła wobec tych żądań stanowisko analogiczne i również z powodu braku potrzebnych na to funduszów odmówiła ich żądaniom.

Wobec tego w ubiegłym tygodniu proklamował komitet strajkowy zaprzestanie pracy zarówno w elektrowni jak w gazowni. Mimo to zarządy obu tych zakładów miejskich postarały się o personal, konieczny do częściowego utrzymania ruchu zarówno w gazowni jak w elektrowni, o tyle mianowicie, by nie brakło światła w mieście oraz prądu elektrycznego w zakładach przemysłowych. Strajk więc ograniczył się właściwie w skutkach do wstrzymania ruchu tramwajowego.

Wobec kategorycznego stanowiska gminy, strajk nie mógł trwać długo, gdyż robotnicy nie chcieli się narażać na utratę posad, na które kandydatów było aż nadto wielu. Pośrednictwo kilku posłów ułatwiło obu stronom „honorowe" wycofanie się ze sprawy i dzięki temu strajk skończył się już we środę.

Zapasy atletów w Krakowie.

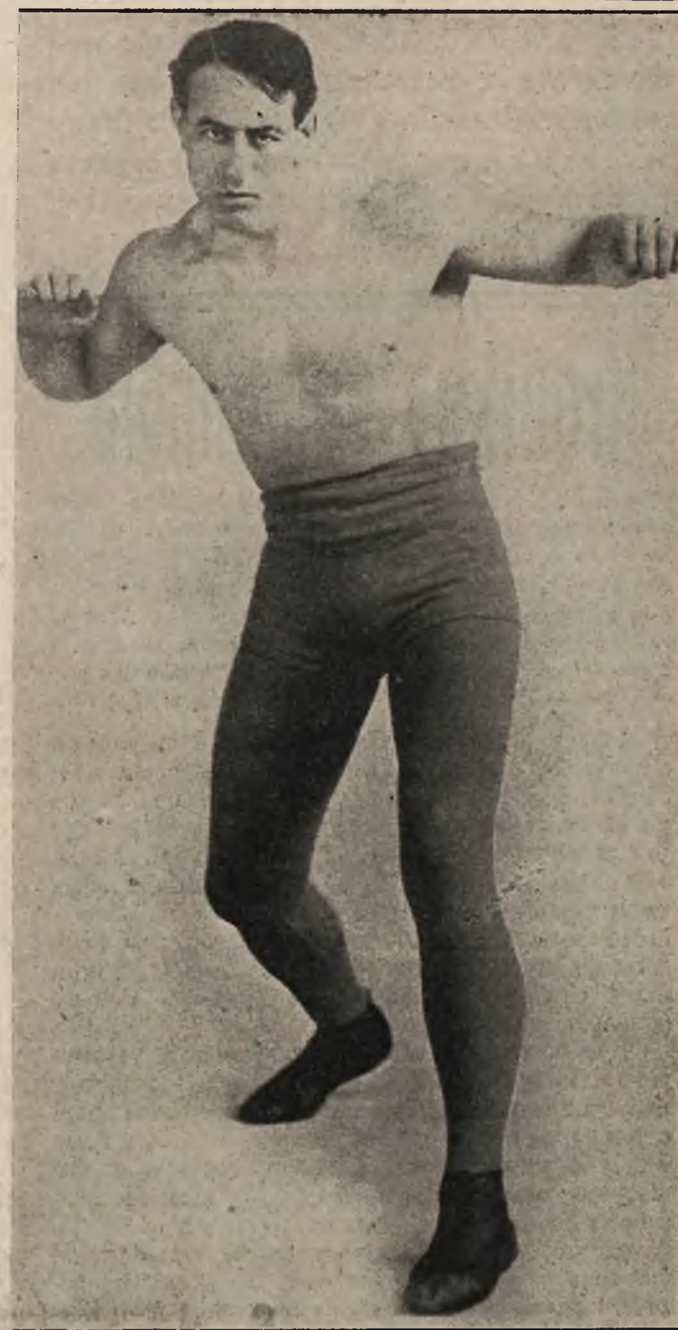
Miłośnicy sportu atletycznego, w szczególności zapasów, ucieszą się niewątpliwie wiadomością, iż w sobotę i niedzielę najbliższą odbędą się na boisku pozlotowem na Błoniach za rogatką Wolską wielkie, międzynarodowe zapasy atletów, przy współudziale najwybitniejszych zapaśników świata, między innymi Zbyszka Cyganiewicza i dr. Rollera, słynnego zapaśnika amerykańskiego.

Organizuje te zapasy na życzenie spółki, dzierżawiącej boisko pozlotowe, Zbyszko - Cyganiewicz i wzywa wszystkich międzynarodowych zapaśników do walki francuskiej lub amerykańskiej *catch as catch can*, nigdy dotąd w Krakowie nie oglądanej, ofiarowując 10.000 koron temu, kto nad nim jedną lub drugą metodą odniesie zwycięstwo. Ponadto każdemu zapaśnikowi-amatorowi zobowiązuje się zapłacić 20 koron za każdą minutę oporu ponad pierwsze 5 minut walki.

Nie ulega wątpliwości, że zapasy te ściągną na piękne boisko tłumy publiczności, żądnej podobnych widowisk, zwłaszcza że walka na sposób amerykański dostarcza wprost nadzwyczajnych emocyi. Zbyszko Cyganiewicz jest obecnie mistrzem w tego rodzaju zapasach, wrodzoną bowiem siłę i spryt wsparł długim treningiem.

Zauważyć należy, że przed zapasami odbywać się będą każdorazowo matche footballowe, których bliższy program, jakoteż program zapasów, ogłoszony zostanie niebawem.

Bilety można wcześniej nabywać u firmy „Auto" przy pl. Szczepańskim.



Zapasy atletów w Krakowie: Zapaśnik amerykański dr. Roller.

Sport w Piotrkowie.

W Królestwie Polskiem ożywia się coraz bardziej ruch sportowy i na kilku polach doszedł już do wyżyn prawdziwie europejskich. Dowodem tego były ostatnie wyści konne, przy współudziale wybitnych sportsmenów z pośród arystokracyi naszej. Kulminacyjnym punktem był bieg myśliwski o nagrodę honorową, ustanowioną przez p. Dachowskiego.

Także piłka nożna znalazła tam wśród młodzieży grono miłośników, którzy zawiązawszy klub „Concordia", uprawiają z zapałem piękną tę i interesującą grę.



Orkiestra amatorska w Moszczenicy: Członkowie orkiesty robotniczej w Moszczenicy z kapelmistrzem p. Mąkoszem w pośrodku.

Od Wydawnictwa.

Z powodu przeniesienia się całego wydawnictwa z dotychczasowego lokalu do własnej realności w Krakowie XV. ul. Nowowiejska l. 83, numer następny (40) naszego pisma wyjdzie o jeden dzień wcześniej, t. j. w środę 28 września.

Kronika tygodniowa.

(Śladem wielkich ludzi. — Podróż na Wolę Justowską i zaraz pierwsze niepowodzenie. — Ukryty talent. — Powrót do miasta i bolesna wiadomość o przegranej Wisły. — Wycieczka do Mogiły. — Wrażenia z odpustu. — Losy i papugi. — O Chłopskich koniach. — Kramy. — W kościele. — Mogilski odpustowy Hawełka. — I ja staram się o konsens. — Powrót z przygodami. — Katastrofa „Cracovii“. — Zbyszko ante portas. — Kto zwycięży. — O co starać się należy.)

Idąc w ślady największych mężów dwudziestego stulecia, tj. cesarza Wilhelma i ex-prezydenta Roosevelta, postanowiłem i ja odbyć *tournee* polityczne po okolicach Krakowa, aby użyć pięknej polskiej jesieni i różnych połączonych z nią uciech. Ponieważ miała to być wycieczka dla przyjemności, żonę, rzecz prosta, zostawiłem w domu. W dalsze podróże puszczać się nie mogłem; stanęły na przeszkodzie czynności zawodowe, brak monety, obawa przed cholerą i... veto mego domowego Puzyny (w spódnicy, nie rewerendzie!).

Pierwsza wycieczka skierowana została naturalnie na Wolę Justowską. Pogoda była prześliczna, ruch też Krakowian w stronę Panieńskich Skał ogromny. Przybywszy na miejsce, chciałem zaraz wygłosić płomienną mowę, którą sobie w drodze ułożyłem, poproszono mnie jednak, bym nie psuł zabawy w ogrodzie, gdzie odbywały się pląsy jakiegoś krakowskiego stowarzyszenia zawodowego, mającego w statucie, przez c. k. namiestnictwo zatwierdzonym, przewidziane co niedzielę tańce. Zrezygnowałem więc z przedsięwzięcia, zrażony nieco niepowodzeniem pierwszego już kroku. Nie pozostało nic innego, jak udać się do następnej jadłodajni, zwanej podobno „Kołkiem“, gdzie panują tak europejskie stosunki, jakichby się i okolice Pipidówki i Kociej Wólki, a nie stołecznego miasta Krakowa nie powstydziły. Najbardziej wzruszył mnie kelner, nieco wprawdzie zamroczony, prawdopodobnie skutkiem „wąchania“ wyziewów alkoholowych, odznaczający się jednak tak wybitnemi zdolnościami matematycznemi, że doprawdy szkoda, by taki talent miał się zmarnować.

Mąż ów odznacza się nadto kolosalną pamięcią, nie potrzeba mu bowiem przypominać, co było, zminą zgadywacza myśli orzeka uroczyście, że wszystko razem kosztuje guldena i sześćdziesiąt pięć centów. Wziąwszy do pomocy ołówek i papier przekonywamy się jednak, iż cały rachunek wynosi tylko guldena i dwadzieścia kilka centów, wolski matematyk tłómaczy się jednak, że „mu się pomyliło“, bo sądził, że liczy na korony... Czyż zacny ten mąż nie zasługuje na to, by zajął katedrę na którejś z wszechnic lub stanowisko głównego buchaltera w jakiejś poważnej instytucyi finansowej?

Zrażony tem do reszty, postanowiłem nie iść już nawet na Panieńskie Skały, z którémi wiąże mnie tyle przyjemnych wspomnień z młodości, ale powróciłem wprost do Krakowa.

Zdaje się jednak, że w dniu tym nie było mi sądzonem, bym miał zaznać spokoju i użyć przyjemności jesiennych, jak grom bowiem z jasnego nieba uderzyła w me czułe serce wiadomość, że „Wisła“ dostała w skórę od „Smichowa“... Już to widzę, że my mamy w jesiennym sezonie taki pech do matchów, jak cesarz Wilhelm do przemówień, a Zeppelin do balonów.

Nie należy jednak tego wcale lekceważyć, skoro bowiem najpolityczniejsze z naszych pism politycznych, tj. „Czas“, poświęca sportowi nożnemu tyle miejsca w każdym numerze, sprawa nie może być tak błaha, jakby się komuś zdawało... Powie ktoś może, że przecież „Reforma“ nie zajmuje się tak troskliwie sportem, ja mu zaś odpowiem, że jest w błędzie, tu bowiem jest także specyalny dział gimnastyczny, omawiający nader dokładnie i szczegółowo koziołki... polityczne naszych znakomitości.

W następną, tj. ubiegłą właśnie niedzielę, postanowiłem odbić sobie zeszłotygodniowe niepowodzenie i wybrałem się na odpust do Mogiły, jest to bowiem ostatnia w roku tradycyjna wycieczka Krakowian za miasto. Pogoda dopisała wspaniale, kurz także... Rano padał wprawdzie ulewny deszcz, na wyraźne jednak zarządzenie magistratu, tylko w mieście.

Szczęśliwie dostaliśmy się na miejsce, szczerze przekonani, że tu przynajmniej odświeżymy swego ducha widokiem skruszonych i kajających się Krakowian, co jak świat długi i szeroki słyną przecież z pobożności. Od samego wstępu w ulicę, nazwijmy ją klasztorną. ścisk, gwar i krzyk... Jakby na straży u wejścia znajdują się propinacye i sklepik z winem. Oblężenie koło obydwu, że palcabyś nie wścibił! Po drodze kilkanaście katarynek wygrywa najrozmaitsze melodye, a właściciele nawołują do kupowania losów, które wyciągają papugi. Są na nich sprawdzające się zawsze przepowiednie i niezawodne numery na loteryę, które muszą wyjść, niewiadomo tylko gdzie i któredy!

— Daj mi pan spokój! — powiadam do jednego z panów przedsiębiorców. — Tamtego roku kupiłem los, postawiłem numery na bryńską i nie wyszedł ani jeden! To oszustwo!...

— Niech pan dobrodziej się nie gniewa! — odpowiada na to, nie tracąc fantazyi — ale to nie moja wina, tylko pana dobrodzieja! Trzeba się było spytać! Moja papuga jest tak przyuczoną, że ciągnie numery tylko na „Linz!“

Przekonał mnie, nie rzekłem więc ani słowa, ale przeciskałem się dalej pomiędzy tłumem podochoconej młodzieży, przeważnie rękodzielniczej z Krakowa. Płeć piękna nader poszukiwana, wszystkie też Kasie i Marysie z miasta, zakasawszy spodnice pociągnęły do Mogiły, jedne pieszo, inne, które stać na to, furkami, po piętnaście centów od osoby...

Biedne te chłopskie koniska! Cały tydzień pracowały ciężko, aby w niedzielę mieć jeszcze gorsze czasy! Od samego ranka wyprowadził je gospodarz na rogatkę mogilską, urządziwszy na wozie tyle siedzeń, że zaledwie możesz nogi między niemi pomieścić! Taka to już końska psia dola...

Wróćmy jednak ku klasztorowi... W miarę zbliżania się ku bramie, ścisk coraz nieznośniejszy. Szeregi kramów z piernikami, dewocyonaliami, owocami, ogórkami, wędlinami i najrozmaitszemi innemi „ami“, a właściciele ich i kierownicy artystyczni nawołują na różne tony. Z dala dochodzi trzask kręcącej się karuzeli i huśtawki i piski przedstawicielek płci pięknej.

— Ta daj pan spokój!.. Już mi się w głowie kręci!...

Przy pomocy łokci i pięści stanęliśmy nareszcie na podwórzu klasztornem. Tu wiernych dość mało, zato bawi twe oko nieustająca wystawa kalek różnego rodzaju, z których każdy pokazuje, co ma najpiękniejszego. Zmykasz więc do kościoła, w którym spotykasz sporo ludu wiejskiego, zbudowanego pobożnością „panów z miasta“, nie zważających na świętość miejsca, ale rozmawiających w najlepsze i to nawet nie półgłosem:

— Pani Franciszkowa, a chodźe pani!

— Wawrzuś, może tak bombkę!

— Panno Kasiu, ja panience kupię serce, ale takie za guldena!

Te i tym podobne rozmowy słyszysz w kościele i myślisz nad tem, gdzie to podziała się ta tradycyjna pobożność Krakowian, którzy przybyli tu nie aby się pomodlić, ale szukając zabawy...

Z falą „pobożnych“ znajdujemy się tuż obok kramów, skleconych na prędce z desek naprzeciw głównych drzwi kościoła, zapewne dlatego, by nie trzeba sobie przerywać posiłku i połączyć miłe z pożytecznem. Dowiadujemy się, że to jest najbardziej elegancka jadłodajnia, wstępujemy więc w jej progi.

I rzeczywiście nie zawiedliśmy się, przewyższa o wiele nawet Hawełkę, ale tylko co do cen, porcyjki w każdym razie są mniejsze. Towarzysz mój był zachwycony. Wrócił on właśnie z kąpiel w Porto Rose i narzekał na panującą tam drożyznę, przekonał się jednak, że co Mogiła, to nie Porto Rose!... Za te pieniądze, za które zjesz w Mogile podwieczorek, tam masz obiad z pięciu dań z winem, czarną kawą i owocami!... Popierajmy jednak przemysł krajowy!

Tak mi się tam spodobał zawód szynksrski, że postanowiłem złamać kronikarskie pióro i rozpocząć starania o konsens na wyszynk napojów gorących i podawanie potraw, a spodziewam się, że prędzej dojdę do majątku, niż na literaturze i wybuduję bodaj trzypiętrową kamieniczkę na gruntach pofortyfikacyjnych. Mało to mamy takich panów, co przyszli do Krakowa z próżnemi kieszeniami a na wódeczce i piwku porobili tysiące? Dlaczegóż i ja nie mam pójść w ich ślady, teraz będą nawet lepsze dla nich czasy! Mogą ubiegać się o konsensy szynkarskie różni tłuści książęta i hrabiowie, dlaczegoż nie miałby sobie na to pozwolić i chudy literat?...

Czas jednak wracać do domu. Wieczór się zbliża, a żona gotowa człowieka jeszcze o co złego posądzić! Kierujemy się więc z powrotem w stronę dworca, popychani, szturkani, ledwie nogi wlokący. Tu dwie stare dziadówki zawodzą duet, ale o treści wcale nie pobożnej, tam dziad ślepiec opowiada sąsiadowi coś nader wzniosłego, ten bowiem śmieje się i trzyma za boki!

Słowem — nastrój na każdym kroku!

Stoczywszy jeszcze jedną walkę o miejsce w wagonie kolejowym spoczęliśmy nareszcie, syci wrażeń, ale nie posiłku, jeden z naszego grona, któremu się do Krakowa spieszyło, wolał iść piechotą. Należycie wygnieceni wysiedliśmy nareszcie na dworcu krakowskim, choć to bowiem rozpoczął się już sezon katastrof kolejowych, jakoś tym razem u nas bez niej się obeszło.

I znowu po powrocie do Krakowa dowiedzieliśmy się o nowej klęsce narodowej, „Cracovia“ bowiem otrzymała od Rudolfshüglerów dwa razy, raz po razu, porządne cięgi. Jeżeli tak dalej pójdzie, polityczna nasza przyszłość przedstawia się w kolorach tak czarnych, że doprawdy nawet wyobrazić ich sobie nie potrafimy. Cała nadzieja w tem, że w bieżącym tygodniu zjeżdża do nas nasz wielki Zbyszko i uratuje nasz honor, wyzwał bowiem każdego, kto tylko zechce, na udeptaną ziemię na krakowskich Błoniach. O nagrodę dziesięć tysięcy koron nie ubiegam się wcale, wiem bowiem, że jej nie zdobędę; co się jednak tyczy premii po dwadzieścia koron za każdą minutę oporu ponad pierwszych pięć bezpłatnych, to wysyłam tam moją żonę i pewny jestem, że zdobędzie mistrzostwo Błoń rozszerzonego Krakowa. Oczywiście chodzi mi nie o mocowanie fizyczne, ale walkę na języki, a w niej nawet Cyganiewicz mojej poczciwej starej nie sprosta.

Nazajutrz dopiero, obudziwszy się z bólem głowy i niektórych innych, nieco niżej położonych, części ciała, począłem medytować, czy podobne święcenie uroczystości kościelnych ma racyę bytu czy nie i doszedłem do przekonania, że jest raczej ich profanacyą. Na odpust wyjeżdżają tacy, którym nabożeństwo ani w głowie i sieją tylko zły przykład między niezgorszonemi jeszcze rzeszami wieśniaków.

W tym względzie potrzebna jest pewna reforma i jedynie dlatego sprawę tę poruszam, powołując się przytem na świadectwo znających stosunki odpustowe mogilskie w ostatnich czasach, że wcale nie przesadziłem.

Zebrawszy więc wszystko razem, widzimy, że u nas niema nikogo, ktoby się tą sprawą chciał zająć, a jest ona pierwszorzędnej wagi. Wielkie miasto traci bardzo na braku miejsc wycieczkowych, u nas ich dość, dzięki Bogu, wycieczki jednak każdemu już obrzydły, żąda się bowiem od zwykłego śmiertelnika wiele, a nic mu się za to nie daje. Należy koniecznie pomyśleć, aby było inaczej i to już w najbliższej przyszłości, przez jesień, zimę i wiosnę jest dość czasu do gruntownego zastanowienia.

Panowie restauratorzy i przedsiębiorcy będą się zapewne na mnie gniewać, bo prawda zawsze w oczy kłuje, zemsty ich jednak nie boję się wcale, zaczyna się przecież pora deszczowa, a z nią kończą się wycieczki, do przyszłego zaś lata o urazie zapomną! *X.*

C. k. Dyrekcya kolei państwowych w Krakowie donosi: Rozkład jazdy, wydany dnia 1 maja b. r. pozostaje, po wyłączeniu t. zw. pociągów sezonowych i jako takich w rozkładzie jazdy oznaczonych, ważnymi i na okres zimowy t. j. od dnia 1 października b. r. do końca kwietnia 1911.

Z dniem 1 października b. r. zaprowadza się tylko tę zmianę, że znosi się na szlaku Gorlice-Zagórzany, zatrzymywanie się nocnych pociągów Nr. 1461, 1472, 1469 A. i 1470 A. w przystanku Glinnik Maryampolski dla wsiadania i wysiadania podróżnych i nie będzie się przy tych pociągach wydaw to biletów jazdy do, względnie z Glinnika Maryampolskiego.

Galicyjskie parostatki na Wiśle.

Potężnym krokiem naprzód w dziedzinie przemysłu galicyjskiego jest powołanie do życia zakładu budowy statków firmy L. Zieleniewski towarzystwo akcyjne w Krakowie. Zakład ten, pozostający pod kierownictwem znanego przemysłowca, posła Edmunda Zieleniewskiego, wykonał niedawno i spuścił na Wisłę cztery parowce, zamówione przez namiestnictwo, a przeznaczone dla objazdów komisyjnych po Wiśle, Sanie i Dunajcu. Cztery te statki, nazywające się: Kopernik, Wanda, Melsztyn i Tyniec, są pierwszymi, jakie w naszym kraju wykonano.

Zbudowane nadzwyczaj solidnie i wedle wymogów dzisiejszej techniki, przedstawiają się wszystkie te statki nietylko okazale ale i pięknie, a urządzenie wewnętrzne odznacza się prawdziwym komfortem. Do budowy użyto blachy żelaznej czteromilimetrowej, pomalowanej na kolor biały, wnętrze zaś wyłożone jest drzewem jasionowem, zabajcowanem na kolor mahoniu. Pokład, długości 38 m., zbudowany jest z drzewa sosny amerykańskiej „Pitschpine“, a otaczają go w koło żelazne balaski. Na pokładzie mieszczą się trzy budki, z których dwie osłaniają wejścia do wnętrza statku, trzecia zaś, cała oszklona, przeznaczona jest dla sternika.

Wnętrze każdego statku dzieli się na cztery części: urzędniczą, maszynową, kotłową i na mieszkanie załogi. Część urzędniczą tworzą dwie wygodne, pełne komfortu kajuty, oraz salon; w kajutach i salonie są wygodne kanapki, które po obróceniu oparcia przemieniają się na łóżka. W salonie prócz dużego stołu i trzech kanap jest kredens z zastawą stołową. Swiatło przedostaje się do tych ubikacyi przez szereg okienek okrągłych, zamykanych hermetycznie.

W części drugiej znajduje się maszyna parowa „Compound“, o sile 80 HP., oraz motor elektryczny o sile 6 HP. Część trzecią wypełnia kocioł o powierzchni ogrzewalnej 32 m² a o ciśnieniu 11 atmosfer. Opalanie kotła odbywa się zapomocą ropy. W części czwartej wreszcie mieszczą się kajuty załogi, w skład której wchodzi sternik, maszynista, dwóch marynarzy i dwóch palaczów.

Statek taki porusza się przy pomocy dwóch kół wodnych, o 8 skrzydłach, robiących około 60 obrotów w minucie.

W ubiegły poniedziałek zaprosił poseł Zieleniewski prezydyum m. Krakowa, prezydyum izby handlowej i przemysłowej oraz przedstawicieli prasy celem zwiedzenia tych pierwszych, w Galicyi wykonanych statków. Przybył więc prezydent miasta Krakowa dr. Leo, wiceprezydent Sare, prezydent izby handlowej Dattner, sekretarz dr. Benis oraz grono dziennikarzy, a poseł Zieleniewski wraz z inżynierami Chudobą i Wasińskim oraz dyrektorem komercyalnym Rogiem udzielali obecnym wyczerpujących wyjaśnień.

W czasie krótkiej wycieczki statkiem „Wanda“ podejmował poseł Zieleniewski swych gości śniadaniem.

„S. V. Rudolfshügel“ w Krakowie.

W dalszym ciągu niezmiernie interesujących matchów footballowych, jakie krakowskie kluby rozgrywają w tym sezonie, odbyły się w ubiegłą sobotę i niedzielę dwa matche między „Cracovią“ a wiedeńskim klubem sportowym „Rudolfshügel“. Oba matche zakończyły się porażką „Cracovii“, w pierwszym dniu w stosunku 3 : 2 (3 : 0), w drugim 6 : 0 (1 : 0). Wynik ten, niekorzystny zwłaszcza w drugiej połowie drugiego dnia, przypisać należy nietylko wyczerpaniu sił i energii po stronie graczów krakowskich, którzy w sobotę przeciwstawili grze Wiedeńczyków obronę i atak bardzo piękny, ale przedewszystkiem niesłychanej i w Krakowie jeszcze nigdy nie widzianej brutalności, rażącej u graczów wiedeńskich zwłaszcza po eleganckiej grze „Sparty“ i „Smichova“. Nic dziwnego, że „poutrącani“ i porozbijani członkowie drużyny „Cracovii“ musieli w ostatniej półgodzinie zawodów uledz przewadze lepiej wytrenowanego i wytrzymalszego klubu wiedeńskiego. I tak zwycięstwo „Rudolfshügla“ było z góry przewidziane, a dzielny opór „Cracovii“ i piękna jej, zwłaszcza w sobotę, gra zrehabilitowała ten klub w opinii publiczności krakowskiej.



Sport w Piotrkowie: Członkowie towarzystwa sportowego footbalistów „Concordia“.

Demonstracya robotnicza we Lwowie.

Zbliżający się termin otwarcia nowej sesyi sejmowej skłonił lwowską partyę socyalistyczną do urządzenia publicznej manifestacyi na rzecz reformy ordynacyi wyborczej do sejmu oraz do omówienia niesłychanej drożyzny, która już nie najuboższym, ale i średnim warstwom mieszkańców miast większych dała się niesłychanie we znaki.

Popularne te hasła ściągnęły na zgromadzenie, urządzone pod gołem niebem na placu Strzeleckim, nieprzejrzane tłumy ludności, jakich dawno na podobnych zgromadzeniach nie widziano. Przybyło bowiem około 10 do 12 tysięcy ludzi rozmaitego wieku i z rozmaitych warstw.

Po zagajeniu zebrania wygłosili referaty na temat potrzeby sejmowej reformy wyborczej i na temat drożyzny dzisiejszej posłowie dr. Diamand i Wityk, poczem uchwalono przedstawione przez referentów rezolucye.

Po zgromadzeniu ruszyli uczestnicy tłumnym pochodem przez miasto ku teatrowi, gdzie również



Galicyjskie parostatki na Wiśle: Prezydent dr. Leo z redaktorem Dąbrowskim na pokładzie „Wandy“.



Galicyjskie parostatki na Wiśle: Na pokładzie „Wandy“, zbudowanej w zakładzie budowy statków „L. Zieleniewski tow. akcyjne“. 1. prezydent dr. Leo: 2. prezes Izby handlowej Dattner; 3. dyrektor fabryki poseł E. Zieleniewski; 4. dyrektor komercyalny A. Róg.



„S. V. Rudolfshügel“ w Krakowie: Widok boiska pozlotowego w czasie matchu „Rudolfshügel“ z „Cracovią“.

wygłoszono kilka przemówień i po wzniesieniu okrzyków pochód rozwiązano. Spokoju nie zakłócono wcale.

Przeniesienie zwłok śp. Gawalewicza.

(Do illustracyi na str. 4.)

Zwłoki zmarłego niedawno we Lwowie autora i dramaturga tamtejszego teatru śp. Maryana Gawalewicza, złożono naprzód w zwyczajnym grobie na cmentarzu łyczakowskim, a obecnie, gdy wykonano grobowiec murowany, przeniesiono je tam uroczyście w ubiegłą sobotę. W dniu tym zebrała się liczna drużyna przyjciół i znajomych zmarłego przy grobie prowizorycznym, a chór teatralny odśpiewał w czasie odkopywania trumny „Requiem“ Gounoda. Kondukt poprowadził następnie na miejsce wiecznego spoczynku ks. Dobiecki i pierwszy przemówił u nowego grobowca, podnoszac niezwykłą religijność śp. Gawalewicza. Następnie przemawiał w gorących słowach prezes towarzystwa dziennikarzy polskich, znakomity powieściopisarz Adam Krechowiecki, kreśląc sylwetę duchową zmarłego; po przemówieniu dyrektora teatru lwowskiego L. Hellera, oddał hołd pamięci śp. Gawalewicza, jako przyjaciela dziatwy, Władysław Bełza, równocześnie zaś córeczka pp. Wolskich złożyła imieniem dziatwy bukiet żywych kwiatów u stóp grobowca.

Na tem zakończyła się smutna uroczystość.

Pranie politycznych brudów.

(Do illustracyi na str. 10).

W Wiedniu toczy się nader ciekawy proses. Jako oskarżyciel prywatny występuje jeden z menerów partyi chrześcijańsko społecznej, Herman Bielohlavek, oskarżonym jest aptekarz Zipperer, który podczas publicznego zgromadzenia zarzucił mu z okazyi omawiania afery Hraby, iż dla własnego interesu nadużywa stanowiska jako radca miejski i członek wydziału krajowego. Podobny proces prasowy przeciw jednej z wiedeńskich gazet poniedziałkowych rozegra się niebawem przed wiedeńskim sądem przysięgłych.

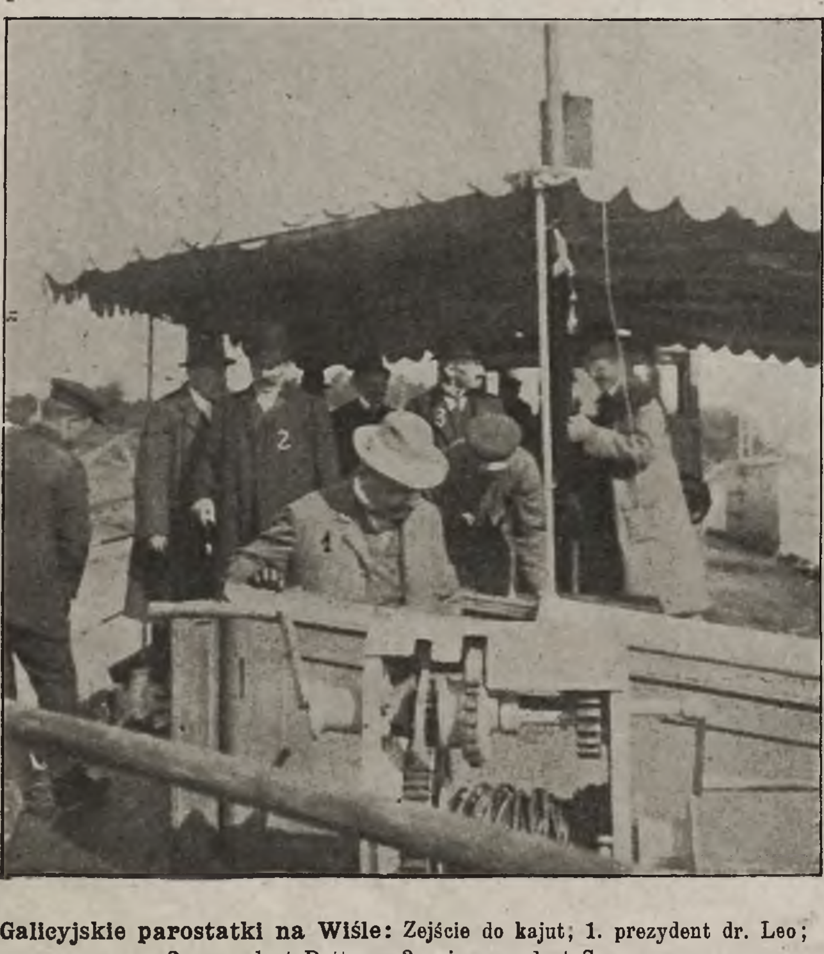
Sprawa na pozór błaha, coś podobnego dzieje się bowiem na każdym kroku, nabiera jednak znaczenia ze względu na osobę skarżącego, który przed dwudziestoma laty goły był, jak mysz kościelna, dziś zaś rozporządza wcale pokaźnym mająteczkiem. Według oświadczenia oskarżonego majątek ten ma źródło w pośrednictwie w wyszukiwaniu różnych zajęć i posad, wyrabianiu dostaw dla miast i kraju, rozdawaniu robót publicznych i zbieraniu drogich ogłoszeń do „Volkspresse“, której Bielohlavek był redaktorem a później właścicielem.

Przed sędzią wyrokującym zeznaje cały szereg świadków, że istotnie starali się o protekcyę przy różnych dostawach u Bielohlavka, że jednak robili tym sposobem rzecz zwykłą i codzienną. Jednym z klasycznych świadków był radny Hraba, który zeznawał na niekorzyść swego towarzysza partyjnego. Najwięcej interesu budzi jednak przesłuchanie niektórych kelnerów, którzy mają zaświadczyć, ile mniej więcej wydawał p. Bielohlavek na szampana i kobietki.

Proces, którym interesuje się cały Wiedeń, gromadzi codziennie w sali sądowej tłumy publiczności, potrwa zaś przynajmniej do połowy przyszłego ty-



Sport w Piotrkowie: Start biegu myśliwskiego.



Galicyjskie parostatki na Wiśle: Zejście do kajut; 1. prezydent dr. Leo; 2. prezydent Dattner; 3. wiceprezydent Sare.



„S. V. Rudolfshügel“ w Krakowie: Drużyna wiedeńskiego klubu „Rudolfshügel“.



Michalina Schwarzówna. Fot. Kuczyński i Gürtler.

godnia, wielu bowiem jeszcze świadków oczekuje na swą kolej. Na ogół zeznają oni dla Bielohlavka niekorzystnie.

Turniej tennisowy w Krakowie.

Ruchliwy klub sportowy „Cracovia“ urządził w ubiegłym tygodniu bardzo interesujący turniej tennisowy w parku Jordana. Do zawodów o piękne nagrody, przez klub dla zwycięsców przeznaczone, stanęło niezbyt liczne ale doborowe grono tennisowców, to też turniej wypadł nadzwyczaj pięknie. Mistrzowstwo i nagrodę „latającą“ zdobył p. Schwede po zaciętej walce z bar. Hagenem, dalsze nagrody przypadły w udziale pp. Łapińskiemu, Mroczkowi, Holzerom i i.

Michalina Schwarzówna.

Pojawiła się niedawno na półkach księgarskich mała, niepozorna książeczka, zawierająca jednak wiele pięknych rzeczy. Tytuł jej: „Księga tęsknoty“, autorka: Michalina Schwarzówna.

Dobrze się stało, że panna Schwarzówna przypomniała się publiczności czytającej i interesującej się literaturą naszą. Bo dłuższe milczenie groziło zupełnem zapomnieniem. A przecież nie tak to dawne czasy, kiedy nazwisko autorki wspomnianej książeczki było bardzo głośne. Wówczas jednak wystąpiła p. Schwarzówna w innym charakterze, mianowicie jako autorka dramatyczna. Jej trzyaktowy dramat „Doktor Rentlow“ otrzymał nagrodę na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego i był grany w teatrze miejskim we Lwowie. W repertoarze atoli się nie utrzymał, choć poważna krytyka przyznała mu szereg pierwszorzędnych zalet. Nie utrzymał się, ponieważ w pewnych sferach zarzucono mu, niesłusznie zresztą, pornografię. Właściwie zaś gniewano się w tych sferach nie tyle na sam utwór, ile na młodość autorki. Młoda panna autorką poważnego dramatu, to istotnie zgroza! Młoda panna nie zraziła się na szczęście oburzeniem „świętoszków“ i pisała dalej.

Z rzeczy jej, w tym czasie wykończonych, wspomnieć należy o dramacie trzyaktowym p. t. „Walczące moce“, przełożonym na język niemiecki przez dra Alberta Weissa, dalej o trzech jednoaktówkach: „Pożegnanie“, „Mateczka“ i „Gdy mężczyźni przysięgają“, złączonych wspólnym tytułem „Tak zwana miłość“. Rzecz ta ukaże się w druku za parę miesięcy, wejdzie też pewnie na sceny polskich teatrów, zwłaszcza że „Pożegnanie“ wystawił teatr Schillera w Wiedniu, a krytyka przyjęła ten utwór p. Schwarzównej z wielkiemi pochwałami.

Z innych utworów dramatycznych tej autorki na wzmiankę zasługuje jeszcze dramat „Pasierbica“, grany w swoim czasie w krakowskim teatrze ludowym za dyrekcyi Knake-Zawadzkiego, dramat, mimo znacznych braków, zdradzający silny talent. Braki wspomniane nie powinny dziwić, gdy się uwzględni, że p. Schwarzówna pisała „Pasierbicę“, mając lat kilkanaście i że był to wogóle pierwszy jej utwór.

Tak wcześnie rozpocząwszy karyerę literacką, ma p. Schwarzówna już dziś — choć i dziś jest bardzo młoda — wcale pokaźny ilościowo, a przedewszystkiem jakościowo dorobek. Cechą charakterystyczną wszystkich prawie utworów dramatycznych p. Schwarzównej jest poważny bardzo pogląd na świat i życie, na jego przejawy. Że zaś ten pogląd nie może być echem własnych przejść czy doświadczeń życiowych, gdyż młodziutka autorka żyła dotąd i żyje spokojnie, pogodnie i bogobojnie w stolicy Podola, Tarnopolu, więc trzeba podziwiać jej nadzwyczajną intuicyę. Z tą samą intuicyą pisane są poezye prozą, zawarte w „Księdze tęsknoty“. Są między niemi prawdziwe perełki, prześliczne cacka literackie w misternej oprawie. Taką jest „Thamar“, taką zwłaszcza „Śmierć Narjali“.

Talent p. Schwarzównej duży i rozwija się pięknie, spodziewać się więc można, iż literaturę naszą zasili niejednem jeszcze wartościowem dziełem.

Słów jeszcze kilka o samej autorce, o której zresztą więcej pod tym względem powie portret, dziś zamieszczony. Osoba powierzchowności bardzo sympatycznej, ujmującej, o oczach dużych, głębokich, zdradzających niepospolitą inteligencyę. A inteligencyę tę wsparło wykształcenie gruntowne, poważne, wszechstronne, wsparły podróże i pobyt za granicą. Ubiera się wykwintnie, gustownie, choć skromnie. Nadewszystko jednak zdobi ją urok kobiecości, której mimo pewnej swobody poglądów bynajmniej się nie zapiera. Typ to, jednem słowem, zupełnie odmienny od „literatek“, spotykanych n. p. w cukierni Michalika, w stojących kołnierzykach, krótkich włosach i z papierosem w ustach. Ale właśnie dlatego, że odmienny — tak bardzo, bardzo sympatyczny.



Sport w Piotrkowie: P. Dachowski w otoczeniu sportsmenów.



Turniej ennisowy w Krakowie: Uczestnicy turnieju tennisowego, zorganizowanego przez klub sportowy „Cracovia“.

Nieznajoma obłąkana.



Z policyi wiedeńskiej nadesłano policyi krakowskiej fotografię pewnej młodej kobiety, umysłowo chorej, podającej się za Annę Szelińską czy też Zielińską, którą tam jako obłąkaną zatrzymano. Ze względu na polskie brzmienie jej nazwiska jest możliwe, iż osoba ta ma rodzinę w Galicyi, gdyby więc ktoś posiadał o niej jakieś wiadomości, zechce je zakomunikować krakowskiej dyrekcyi policyi.

Ujęcie amatora cudzej własności.

Rzemiosło złodziejskie doszło w ostatnich czasach do nadzwyczajnego rozwoju. Różne osobniki, które czują wstręt do uczciwej pracy, a poszukują za lekkim zarobkiem, mnożą się jak grzyby po deszczu, niema prawie dnia, by pisma codzienne nie doniosły



Ujęcie amatora cudzej własności: Dżabbar Izmaiłow.

o przytrzymaniu jakiegoś złodzieja-artysty, który swymi pomysłami wprawia w podziw nawet najwytrawniejszych policystów.

Jednym z podobnych ptaszków jest Kaukazczyk Dżabbar Izmaiłow, poszukiwany przez całą rosyjską policyę jako niebezpieczny złodziej klejnotów. Długo udawało mu się ujść ręki karzącej sprawiedliwości, nareszcie przecież powinęła mu się noga. Sarkiz Isakow Ogły, takie bowiem drugie nosi nazwisko, dokonał w ubiegłymtygodniu znacznej kradzieży u Mankielewicza w Warszawie, lecz już w kilka godzin po kradzieży został aresztowany przez policyę śledczą.

Z półek księgarskich.

„Promyk“. Wyszedł Nr. 37. „Promyka“ tygodnika illustrowanego młodzieży. Pismo to istniejące od dwóch lat rozwija się coraz lepiej. Daje powieści doborowe, artykuły naukowe, obrazki i poezye wybitnych i utalentowanych autorów.

Bieżący numer zawiera; „Zwierzęta w niewoli“ Hagenbecka, „Dyabelski statek“ powieść przerobiona z „Pracowników morza“ W. Hugo przez St. Burczewską. „O królewiczu i o Jaśku“ wiersz M. Markowskiej. „Nasza klasa“ powieść M. Hantowerówney. „Wieczór letni“ wiersz Heleny Bejarskiej. Ze świata, łamigłówki, rozwiązania.

„Promyczek“ baśń Domosławy. „Mała Czarodziejka“ Hakelbeilówny. „Zając i lis“ bajeczka z niemieckiego. Wesołe szarada, łamigłówki i rozwiązania zamykają ten numer.

Praktyczny podręcznik dla ślusarzy dla niższych szkół zawodowych i dla ogółu pracowników przemysłu żelaznego **O żelazie, stali i prawidłowem hartowaniu narzędzi** w II. częściach z licznemi rycinami ułożył **Jerzy Tyrowicz** nauczyciel zawodowy przy c. k. szkole dla ślusarstwa maszynowego w Tarnopolu. Lwów 1910. Wydano nakładem fundacyi hr. Skarbka.

Podręcznik wydany przez byłego wychowanka Zakładu Drohowyskiego, a poświęcony pamięci szlachetnego Fundatora ś. p. hr. Stanisława Skarbka. ma upamiętnić chwilę opuszczenia Zakładu przez tysiącznego wychowanka, co miało miejsce w r. 1909.

Treściwie zestawiony tekst, objaśniony dwudziestu kilku rycinami, dzieli się na dwie części. W pierwszej pomieszczone są wiadomości dotyczące pochodzenia i wytwarzania różnych rodzajów żalaza i stali, jako materyałów surowych, w drugiej opisy najnowszych przyryądów, oraz sposoby praktyczne odnoszące się do prawidłowego hartowania stali.

Praca pana Tyrowicza wypełni lukę, jaka bardzo dawała się odczuwać naszym rękodzielnikom i pomnoży tak niestety szczupłą naszą iiteraturę techniczną.

John Foster Fraser **Jak Ameryka pracuje,** tłómaczył Z. Przemyśl 1910. Księgarnia A. Juszyńskiego.

Ponieważ w dzisiejszej walce ekonomicznej nie wystarczają wysiłki kilku jednostek, tylko trzeba nieutrudzonej woli i ustawicznej pracy całego społeczeństwa. przez przetłomaczenie angielskiego dzieła **America at Work** chce nas tłómacz zapoznać z ową nieutrudzoną gorliwością, dzięki której Ameryka zdobyła sobie pierwsze miejsce w handlu światowym.

Wydanie staranne, ozdobione licznemi illustracyami.

Kalendarz Maryański na r. 1911. Nakładem Karola Miarki w Mikołowie (Górny Śląsk). Cena 50 fenigów.

Wydawnictwa Karola Miarki cieszą się zasłużoną sławą. W rzędzie ich **Kalendarz Maryański** zajmuje jedno z najpoczetniejszych miejsc, stanowiąc dla naszego ludu nader pouczającą i zajmującą lekturę. Na treść jego składają się nader interesujące artykuły, ozdobione pięknemi illustracyami, z których kilka wykonanych jest w kolorach. **Kalendarz Maryański** zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

Głosy publiczne.

(Z dobrego najlepsze) zapewne każdy wybierze z nadejściem zimowego sezonu i zaopatrzy swoje potrzeby w berneńskie sukna, których to na tamtejszym placu wypróbowane, w najlepszej jakości, u najrzetelniejszej firmy **Etzler & Dostal** najlepiej i najtaniej otrzymać można.

Za rzetelnością wyżej wspomnianego przedsiębiorstwa przemawia okoliczność, że jest dostawczynią związku nauczycielskiego, urzędników państwowych — i Stowarzyszenia związku domów nauczycielskich, jakoteż większych stowarzyszeń i obszarów dworskich. Niezliczone listy uznania potwierdzają zadowalniającą obsługę. Każdy może wprost z firmy materye sprowadzić, albowiem nawet w najmniejszych kawałkach dostarczamy, a w bogato zaopatrzonych kolekcyach są wszelkie ceny podane.

Filip Haas i Synowie. Największa firma w Austryi, istniejąca 150 lat, posiadająca lwowską filię lat 34, zyskała sobie znakomitymi i najwybredniejszymi wyrobami dywanów, portier, kap, firanek, chodników i dywanów oryentalnych rozgłos i olbrzymią klijentelę. Wyroby te wzbudzają podziw wśród publiczności, oglądającej je w lokalu urządzonym z komfortem przy ul. Trzeciego Maja l. 7. tembardziej że prócz towarów kosztownych znajdują się wyroby skromne o przystępnej cenie. — Filia ta rozwija się od lat 8-miu pod kierownictwem pana Juliusza Tanza, zaprzysiężonego znawcy c. k. sądu kraj.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 37.

Dobre rozwiązania nadesłali: J. Raciborski, Krosno, M. Planecka Kraków, F. Gebhard Kraków, J. Osadziński Warszawa, J. Potocka Sanok, H. Steinberg Jasło, A. Łapiński Rzeszów, B Bartunek Tarnów, H. Pick Wrocław, J. Lachowska Zakopane, M. Lipińska Sanok, K. Radoszewski Podgórze, H. Łopatkiewicz Jaworów, M. Lemiszewska Kołomyja, H. Armatys Kraków, J. Czarkowski Kołomyja, J. Ohrenstein Jodłowa, S. Lindenbaum Czerniowce. A. Balicki Kołomyja, H. Borkowska Kraków, M. Glińska Kałusz, J. Siępień Sanok, H, Włodek Lwów, X. Brzostowski Krosno, J. Barnat Rzeszów, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, J. Świrski Radom, J. Kwaśniewski Sandomierz, W. Bandrowski Ostrów: L. Sawliński Lwów, J. Engelberg Kołomyja, C. Wang Radomyśl, J. Zöner Rozwadów, M. Starowiejska Sichów. W. Ostrowski Warszawa, H. Więckowska Sanok, J. Rogaziński Bochnia, K. Wałęge Żabno, H Kretowin Lisko, M. Ciszewska Rozwadów, J. Samlicki Tarnobrzeg, H. Waligórska Wiedeń, R. Kohn Końskie, J Kołodziejski Rzeszów, J. Klappolz Rzeszów, H. Piątek Podwołoczyska J. Jahoda Cieszyn, H. Bieńkowski Wiedeń, J. Stiller Sanok, M. Wolański Bohorodczany, J. Aleksandrowicz Jawornik, H. Zaplatalski Zakopane, A. Gralewski Zakliczyn, W. Thum Płock, M. Więckowski Warszawa, H Kalinowska Petersburg. M. Daszyńska Złoczów, J. Lorber Żółkiew, W. Olszewski Lwów, J. Siekierzyński Zator, M. Kumala Żywiec, H. Wykus Sanok, J. Zachara Drohobycz, M. Stępień Budapeszt, W. Radoń Kraków, J. Wasiński Tarnopol. H. Gottwald Lisko, W. Kopczyńska Rzeszów, J. Nowacki Stanisławów, K. Taborski Rzeszów, M. Tyczyńska Nisko, H. Makarewicz Częstowa, H. Andrzejowski Poznań, M. Ciesielski Kraków, M. Dawidsohn Corysław, A. Trzeciak Krynica, S. Machnicki, Sądowa Wiśnia, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalski Kraków, H. Zegartowska Łososina górna, K. Zegartowski Bogucice, J. Jaworski Kraków, S. Cendrowicz Kraków. K. Turecka Tarnopol, W. Krupski Zborów, M. Malinowska Oświęcim, E Bogdalska Koropuż, W. Rapacz Jaworzno, M Serbeńska Budzanów, K. Beutelsak Stryj, H. A. Łazarowicz Lwów, Ks Czerski Trzęsówka, S Faliszewski Baligród, A. Arbesbauer Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, A. Rotter Stanisławów, J. Badura Rożdżeń, K. Fuchs Czeremchów, Z. Boulangé Gawłówek, J. Fingerer Stryj.

Logogryf: Juliusz Słowacki, Hugo.

Zagadka: Mus, sum.

Szarada: Pożary.

Arytmogryf kwadratowy: Komik.

Łamigłówka: Początek roku szkolnego.

Rebus: Miłość bez grosza, a spacer w ulewę, długo nie nie potrwają.

Nagrodę przez losowanie otrzymała **H. Więckowska, Sanok.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Trafna odpowiedź.

Okulista (do pacyenta, którego ma za chwilę operować): Panie! Czy masz pan do mnie zaufanie?
Pacyent: Slepe... panie konsyliarzu!

Do kompletu.

Radca miejski *Y.* spóźnił się nieco na posiedzenie rady. Gdy znalazł się w przedpokoju sali radnej, przekonał się, że posiedzenie już się zaczęło. Pyta więc woźnego:

— Te durnie zeszli się w komplecie?

— Prócz pana dobrodzieja — odpowiada zapytany — nie brakuje nikogo!...

Za kulisami.

— Pan musisz jako Ludwik XIV. być o ile możności jak najładniejszym...

— Dobrze panie dyrektorze! Będę sobie wyobrażał, że właśnie dostałem przynajmniej dwadzieścia koron zaliczki...

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

26

Nie mogąc wyjawić mu przyczyn tego zerwania, musiała ułożyć wszystko tak, by on uznał to za kaprys. Osądzi ją jako lekkomyślną i okrutną... Tem lepiej! Tem prędzej ją zapomni. Przynajmniej ona jedna tylko będzie cierpiała! Po odejściu inżyniera, gdy wszedł Maksym Duret, znowu jej się zrobiło słabo. Zebrała jednak swe siły, by prosić dziadka o pozostawienie ją samą; uczyniła to przytem takim tonem, iż prezes zadziwił się.

„Tak, ten pojedynek musiał dobrze wstrząsnąć jej nerwami! — powtórzył sobie. — Nie drażnijmy jej“... I przeszedł do gabinetu. Drugiemi drzwiami wchodził tam Raul de Lagunan.

Baron szedł już bez niczyjej pomocy. Bandaż przytrzymywał mu na szyi okład z arniki.

— Już mi dobrze — rzekł. Może dasz mi kopertę poczty pneumatycznej?... Muszę zaraz napisać...

Maksym Duret wskazał mu na biurku pudełko z kopertami. Potem pozostawił barona samego i udał się do siostrzenicy, by opowiedzieć jej wymówienie domu Maurycemu i oznajmić, że Kamilla jest jeszcze cierpiącą. Baron siadł przy biurku, położył przed sobą arkusz papieru, wziął pióro do ręki i zmarszczywszy brwi i czoło z natężenia myśli, szepnął do siebie:

— Starajmy się z tego wywikłać! Czy mam wspominać, że stałem się ofiarą napadu?... Nie! Uczyniłoby mnie to więcej śmiesznym, niż interesującym... Pokryjmy to milczeniem... Dziewczyna ta, która nasłała na mnie bandytów, z pewnością tem się nie pochwaliła... Ludwika nie wie nic... Milczmy więc o tem...

„Tak!... Lecz czy ta dziewczyna naprawdę miała mnie prosić, bym czekał na Ludwikę na bulwarze Bineau?... Jeżeli tak, to Ludwika, gdy przyszła, mnie nie znalazła... Wobec tego muszę jej wytłómaczyć, dlaczego mnie nie było... Jakąż przyczynę mam podać, jeżeli prawdziwą trzeba ukryć?... Sapristi! Nie znajduję żadnej... Do licha! Bandyci ci zamienili mój mózg na marmoladę!“

Umaczał pióro w atramencie.

— Zanotujmy naprzód to, com powiedział... — ciągnął dalej. — Gdy się swych myśli nie zapisuje na papierze, uciekają gdzieś one, lub się tak mieszają, iż po kwadransie myślenia, człowiek nie dochodzi do żadnego rezultatu...

Zaczął pisać. Chodziło mu o skłonienie Ludwiki, by naznaczyła rendez vous. Po wyjawieniu jej swej miłości osobiście, może już prowadzić swój podbój piśmiennie. Redagowanie listów jest co prawda dość trudne, ale oszczędzą mu one za to wystawania pod bramą pralni i włóczenia się za nią po całym Paryżu. Zamiast tłuc się w dorożce, lub męczyć chodzeniem za praczką, by znaleść odpowiedni moment do szepnięcia jej kilku wymownych słów, może układać teraz swobodnie uwodzicielskie zdania i wysłać je najspokojniej w kopercie.

„Nie traćmy tylko czasu — myślał. — Ta mała nie wielkie okazuje chęci do oddania się... Trzeba ponawiać swe zachody... powiększać swe przysięgi... Wysyłajmy natomiast pierwszy list! Chodzi tu przecież o samochód“.

Baron drżał, by nie przegrać zakładu. Do tej pory nie podniósł głowy od biurka, dopóki nie napisal listu, nie przepisał go i nie zapieczętował w kopercie. Potem zadzwonił na służącego, kazał odnieść list do najbliższego biura pocztowego i szepnął do siebie, chłodząc się chustką:

— Kropnąłem niezwykły liścisk, mimo iż głowa moja odczuwa jeszcze kręcenie tych bandytów. Niema co mówić... Mam eleganckie wysłowienie się i łatwe... Gdy minie dla mnie wiek sportów, przerzucę się do literatury.

XVII.

Baron nie skończył jeszcze pisać swego listu, gdy bilet Piotra od pewnego już czasu był na ulicy Laugier. Znajdował się on jednak jeszcze w mieszkaniu matki Ladroule.

— Panna Dubois?... — odpowiedziała stróżka młodemu człowiekowi. — Ona... gul, gul, gul... ona gul, gul, gul... wyszła.

— A kiedy wróci?

— Nie mogę panu tego... gul, gul, gul... powiedzieć...

Matka Ladroule kończyła butelkę malagi, kupioną za pięć franków, otrzymanych rano. Była już teraz zupełnie pijaną. Zgarbione swe plecy jeszcze bardziej miała pochylone, siwawe włosy spadały w nieładzie na ramiona, a czerwony nos świecił się jak latarnia. Mówiła z trudnością. Musiała szukać każdego słowa, by odpowiedzieć, a przy tem szukaniu wydawała ustami dźwięki, których nie sposób wyrazić przy pomocy liter alfabetu. W bredzeniu jej rozróżniano tylko coś w rodzaju „gul“, powtarzanego bezustannie głuchym głosem.

— A nie wie pani, dokąd poszła? — zapytał znowu Piotr Cartelegue.

— Ma się rozumieć, że wiem!... Gdzież ona mogła... gul, gul, gul... o tej porze iść... gul, gul, gul... jeżeli nie... gul... do panny Ewy?

— Panny Ewy?

— Jest to młoda panna... gul, gul, gul... bardzo grzeczna... gul, gul... bardzo porządna... która pracowała w pralni razem z panną Ludwiką... gul... Ta stara ropucha Lambert... gul, gul, gul... wydaliła ją.

Stróżka była w naprężonych stosunkach z właścicielką pralni. Wymawiając imię swej nieprzyjaciółki, zmieniła ton. Głos jej stał się złym, a zielonkawe oczy nabrały nagle jakiegoś blasku. Ta dobra kobiecina od miotły, zamieniła się odrazu w złą megerę. Piotr trząsł się z niecierpliwości, trzymając w ręku swój list.

— A czy panna Dubois — przerwał — wkrótce wróci od panny Ewy?

— Niech pan słucha... Zaraz panu powiem... — ciągnęła dalej stróżka. — Gdy ta stara kryminalistka... gul, gul, gul... ją wydaliła... to biedne dziecko... gul, gul, gul... przeniosło się... gul, gul... gdzieindziej...

Blask w oczach zwolna zanikł... Głos stał się łagodniejszym. Matka Ladroule litowała się teraz nad wydaloną praczką.

— Przychodzi niekiedy... gul, gul, gul... — opowiadała... — Przychodzi do panny Ludwiki... gul, gul... po skończeniu pracy... A innym razem to znowu... gul, gul, gul... to panna Ludwika... gul... idzie do niej... Razem wtedy jedzą obiad... gul, gul...

— A więc panna Dubois jest dzisiaj u swej przyjaciółki? Gdzie ona mieszka?

— Mieszka... na ulicy... gul... na ulicy... gul, gul, gul... Ach, mój Boże! Gdzież to ona mieszka?... Ach, nawet nie pamiętam... gul, gul, gul... czy ja to wiedziałam... gul, gul... nie przypominam sobie...

— Niech pani sobie przypomni! — rzekł Piotr nerwowo, wyjmując z kieszeni luidora i rzucając go na stół.

Na nieszczęście widok tej złotej monety wywarł na stróżkę wrażenie, jakiego nie spodziewał się młody człowiek. Matka Ladroule bardzo wzruszona, przejęta szacunkiem do reszty, straciła pamięć i zdolność wysłowienia się. Wydała z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków. Piotr zaklął i spytał znowu:

— A nie wie pani, kiedy panna Dubois wróci.

— Gul, gul... jutro rano... — zdołała wykrztusić stróżka. — Gul, gul, gul... Za każdym razem, gdy je obiad... gul, gul... u panny Ewy... gul... i śpi u niej... gul, gul... ponieważ boi się... gul... wracać nocą...

Piotr zaklął znowu i obrócił się na pięcie. Wyszedł na ulicę i wszedł naprzeciwko do restauracyi.

— Proszę o przybory do pisania! — zażądał, gdy siadł.

Gospodarz, wielki mężczyzna o karku i muszkułach siłacza jarmarcznego, sam się zajął spełnieniem życzeń tak niezwykłego gościa. Król stu dwudziestu koni nie miał tu z sobą swego samochodu. Zostawił go roztropnie na bulwarze Gouvion Saint-Cyr, gdzie zgromadził się już liczny tłum, podziwiając jego potężną maszynę. Mina jednak i strój młodego człowieka wskazywały wyraźnie, że jest to klijent wielkich restauracyi, a nie podrzędnych knajp.

— Przybory do pisania? — powtórzył gospodarz.

I rzucił okiem w stronę gościa, który miał przed sobą podkładkę z bibułą i kałamarz.

Gościem tym był jakiś szczupły człowieczek o lichej minie.

— Nie śpieszy mi się — rzekł on, chowając do kieszeni arkusz papieru, do połowy zapisany regularnem pismem urzędnika biurowego.

— Dobrze! Dziękuję! — odparł właściciel.

I zaniósł przybory do pisania na stół Piotra Cartelegue'a. Młody człowiek rozerwał kopertę i do listu swego dopisał następujące słowa:

P. S. — Stróżka powiedziała mi, że pani jest u przyjaciółki, której adresu nie zna i że wróci pani dopiero jutro rano. Przyjdę po panią o dziesiątej. Proszę mnie oczekiwać.

— Wreszcie! — szepnął, wkładając list do koperty, znajdującej się pod bibułą. — Będzie już ubraną i będę mógł ją zaraz zabrać... Nie może przecież dłużej zostawać w tej norze... Dokąd jednak ją zaprowadzę? Trzeba będzie wynająć umeblowane mieszkanie. Zajmie się tem Kamilla. Dam jej na to pieniądze. Ale! Mam dobrą myśl! O dziewiątej godzinie zajadę z Lewisem Jacksonem na ulicę Ampere i dawna uczenica Ludwiki będzie nam towarzyszyła na ulicę Laugier. To ułatwi wiele rzeczy!

Piotr wstał i rzucił monetę na stół. Opuścił zaraz tę restauracyę i powrócił znowu do matki Ladroule.

— Proszę! — rzekł do stróżki, która zaczęła zaraz kłaniać się i bełkotać coś na jego widok. — Panni odda ten list pannie Dubois, gdy tylko ona powróci.

— Gul, gul, gul, gul... — odpowiedziała matka Ladroule.

Z wielkim szacunkiem wzięła podany sobie list.

Młody człowiek wyszedł.

— Gul, gul, gul... — ciągnęła dalej stróżka, wychylając resztki swej malagi. — Jest to bardzo grzeczny i porządny chłopiec...

W butelce nie pozostało już nic. By skorzystać odrazu z otrzymanych dwudziestu franków, chciała iść kupić sobie nową butelkę. Zawiodły ją jednak siły. Przy pierwszym kroku w stronę drzwi zachwiała się i ledwie zdołała siąść. Umysł jej niestety nie był w lepszym stanie, niż nogi. Odpowiedzi pijaczki dały najlepszy tego dowód. Nie tylko, że wiedziała doskonale adres Ewy, którego nie mogła sobie przypomnieć, lecz ponadto myliła się jeszcze, utrzymując, że Ludwika jest u swej przyjaciółki. Właśnie naodwrót Ewa znajdowała się u Ludwiki. Na chwilę przed przyjściem Piotra matka Ladroule widziała wchodzącą do domu dawną pra-

sowaczkę z pralni Lambert i zupełnie logicznie wysnuła wniosek że obie przyjaciółki będą razem jadły obiad. Potem jednak wyobraziła sobie, że ten obiad będzie nie u Ludwiki, lecz u Ewy i zdawało jej się, iż widziała nie wchodzącą Ewę, lecz wychodzącą Ludwikę. Nie po raz pierwszy zresztą pod wpływem alkoholu, w głowie jej przewracało się wszystko do „góry nogami“.

Tymczasem obie prasowaczki siadały do stołu.

— Umieram z głodu — oznajmiła Ewa.

By być o godzinę wcześniej wolną wieczorem, pół godziny wcześniej przyszła rano i o pół godziny dłużej pozostała w południe w pralni. W ten sposób jej pierwsze i drugie śniadanie było bardzo krótkie. Po południu zjadła ciastko i wypiła kieliszek kseresu na ulicy Boissy-d'Anglas, lecz ten lekki posiłek był złączony z emocyami, a nic tak nie pobudza apetytu, jak wzruszenia, zwłaszcza gdy kto ma dobry żołądek. Ludwika również miała dnia tego rozmaite przejścia. Nie mając jednak tego organizmu, co jej przyjaciółka, nie odczuwała też i głodu. Słabo jej tylko było, ponieważ od rana była na czczo.

— Pasztet truflowy! — rzekła tonem wymówki, widząc zawartość pakietu Ewy. — I butelka szampana! Co za szaleństwo!

— Ach! chciałam się dzisiaj uraczyć! A ty nie?

— Nie!

— Och, biedaczko! Ciągle jesteś w swym czarnym nastroju?...

Ewa przegięła się przez stół, który nie był szeroki i pocałowała Ludwikę.

— Spodziewam się przynajmniej — rzekła znowu — że ci nie robili żadnych kawałów?

— Och, nie!

— Nie, nie! Jakby te wiedźmy nie były zdolne do wszystkiego!

— Helena jest bardzo uprzejma...

— Ja nie mówię o Helenie. Ona się nie liczy... Jest to zero. Ale ta Berta z swą przewrotną miną, to kawałek kanalii. A Julia to już ma wyznaczone dla siebie miejsce w więzieniu...

— Ładnie je przedstawiasz!

— Ciągle się obawiam, że sprawiają ci przykrości, a ty to ukrywasz! Och! Gdybym była pewna. Dobrzebym ich potraktowała!

— Ależ mówię ci prawdę, że mi nie dokuczają.

— Dobrze! Mówmy o czem innem! Co to ja chciałem powiedzieć? Ach, tak... Chciałam sobie sprawić frajdę! Lulusiu, jeszcze kawałeczek pasztetu... i kropelkę szampana!

— Dosyć, dziękuję! — prosiła Ludwika.

— Nie bój się! Gdy dzisiaj jest mało, jutro będzie więcej! Do mnie należeć będą trufle z Perigord i winnice w Epernay.

Ewa jadła obficie i nalewała sobie pełne kieliszki.

— Ja teraz będę posiadała samochody i jachty morskie. Mnie służyć będą lokaje w liberyi i podawać na srebrnych tacach!

— Pokręciło ci się w głowie? — rzekła Ludwika, naprawdę cokolwiek zaniepokojona. — Cóż ty opowiadasz?

— Przygotowuję cię, moja droga, do wielkiej nowiny.

— Do wielkiej nowiny? — powtórzyła Ludwika, coraz bardziej zaniepokojona.

— Tak... Trzymaj się dobrze, byś nie upadła ze zdumienia... Wiesz, mój bogaty cudzoziemiec..

— Jaki bogaty cudzoziemiec?

— Ten z moich marzeń... który chodził za mną po ulicach i wreszcie podszedł do mnie skromniutko i rzekł: „Pani, ja panią kocham... Niech pani rzuci ten ciężki i niezgrabny koszyk. I niech pani siada razem ze mną do Południowego Ekspresu...“

— No więc co?

— Więc co? Och! moja droga, widziałam go, ale już nie we śnie i zwrócił się do mnie właśnie z takiemi słowami!

— Ach! — szepnęła Ludwika zmieszana.

Położyła widelec i pozostała z ustami otwartemi.

— Jakoś ciebie to nie zachwyca — ciągnęła dalej Ewa. — Czyż wyobrażasz sobie, że ciebie opuszczę? Ten bogaty cudzoziemiec i za ciebie musi zapłacić drogę... albo też pojedzie beze mnie. Nie zniosę tego, byśmy się mieli rozstać...

Ludwika nie mówiła już nic. Ten ostatni cios odbierał jej wszystkie siły. Teraz znowu groziła jej utrata jedynej jeszcze osoby, którą kochała na świecie.

— I cóż?... I z tego się nawet nie cieszysz?— ciągnęła dalej piękna prasowaczka. — Ja, moja droga, tańczę z radości. Tańczyłam, idąc do ciebie i jem, tańcząc... Chce mi się teraz krzyczeć, tańczyć, śpiewać.. Ach! żeby to jutro jak najprędzej nastąpiło! O piątej mam zobaczyć swego Anglika... Jest on bowiem Anglikiem, moja droga... A minę ma wielkiego pana... Mieszka na ulicy Boissy-d'Anglas... Nazywa się...

— Dosyć! — przerwała Ludwika, podnosząc rękę. — Czyń, Ewo, co chcesz, ale żebym ja o tem nie wiedziała! Twe nowe życie niech będzie dla mnie obcem!

— Dlaczego?

— Bo chcę pozostać twą przyjaciółką.

I Ludwika zaczęła płakać.

— Cicho! cicho bądź! — prosiła piękna prasowaczka, wstając zasmucona z swego krzesła.

Usiadła koło swej przyjaciółki, wzięła ją za rękę i zaczęła tłómaczyć się:

— Wiedziałam dobrze, że ta nowina nie bardzo cię zachwyci... a nawet, że przyjmiesz ją niechętnie... Nie przypuszczałam jednak, aby doszło aż do tego. Ach! cóż robić! trudna rada! Dosyć już mam tych bólów w krzyżu od prasowania i w boku od dźwigania kosza... tego bezustannego od rana do wieczora doskwierania właścicielki... tego ciągłego zaczepiania na ulicy przez idyotów, którzy strzelaliby sobie w łeb o mnie, gdybym tylko miała na głowie kapelusz za dwadzieścia luidorów, a nie chusteczkę... Nie! nie! Ty płaczesz, a ja łkam, lecz to nic nie zmieni!

I młoda dziewczyna zaczęła również płakać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożył dr. Przybyłowicz, Trebinje.
(Dwa wyrazy)

I.

Część drugiej wspak, wyraz to znany,
Przez ludzi często w gniewie używany.
Reszta drugiej i trzecie, twarde są i kłują,
Stąd przy jedzeniu mocno nas żenują.

II.

Pierwsze litera, drugie—trzecie macie
W ubogiej chatce i pańskiej komnacie
Bywa też wielkie, a bywa i małe
U chłopka liche, u pana wspaniałe.
Piąta i czwarta rzeka na północy,
Znajdziesz na mapie bez obcej pomocy.
— — — — — — — — — —
Po żmudnej pracy, co cię męczy, złości,
Z pewnością znajdziesz rozrywkę w *całości.*

Kwadrat magiczny.

Ułożyła M. Malinowska, Oświęcim.

Kwadraty i kreski zastąpione odpowiednio literami, utworzą szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół i poziomy dadzą nazwisko modnego obecnie języka.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Owad. 3. Minerał szlachetny. 4. Jedna z muz. 5. Wyraz szukany. 6. Część stroju krakowskiego. 7. Pokarm cudowny. 8. Zaimek pytający. 9. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożyła M. Urbańska, Kraków.

Kropki zastąpić literami w ten sposób, aby uzupełnione wyrazy utworzyły wyjątek z poematu Juliusza Słowackiego.

N.c z r...iem d.o.e koc....ów s.ę g..i,
A n.g.y s.ę t. d..on..ć n.e m..ą,
Aż ..ę d...ig.ą na w. c.n .c, b. ni.
P..ed S..ó.cą s.a.ą z.d.s.an. z t.w.gą.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Geuesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Cis, gwar, ią, lak, nie, nuta, oda, ul.

Łamigłówka literacka.

Ułożył M. Czecz... Podłęże.

Wymienić po jednem dziele następujących autorów. Początkowe ich głoski, czytając z góry na dół, utworzą pseudonim polskiego powieściopisarza.

Rodziewiczówna ?
Szekspir ?
Rzewuski ?
Żuławski ?
Zapolska ?
Korzeniowski ?
Słowacki ?
Orzeszkowa ?
Żeromski ?
Sieroszewski ?
Jeż ?
Wyspiański ?

Zadanie do przestawienia.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Leon, życie, bór, wóz, mak.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył E. Jezierski, Kraków.

Ze słów:

Rdzeń, Wilno, ryby, dymi, plenna, żer,
złożyć nazwiska pięciu stolic Europy.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *H. Piątkowskiego:* „Mistrz Kłębek“. Powieść.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.